№ 39. Warszawa, dnia 17 (29) Września 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. - Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50

Półrocznie . . . rs. 5

Rocznie. . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25

Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50

Rocznie . . . . . rs. 5

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. **3.**

KASZUBI.

Skreślił

WIKTOR CZAJEWSKI.

(Dokończenie.)

W Kantrzynie ludu co niemiara, gdyż odbywa się głosowanie na posła do rady państwa. Wszystka więc szlachta z całej ziemi kaszubskiej zebrała się razem. Na placu roi się jej mnóstwo a tu niepodobieństwo go ominąć.

Nieszczęśliwy i zawstydzony Czorliński — radby uniknąć tych ludzi — ale nie może... Aby więc uwolnić się od śmiechów, okrywa głowę workiem i podciąwszy konie pędzi naprzód...

Ale szlachta zebrana wyśmiewa się z jadących wytykając ich palcem. Ten i ów dorzuca złośliwe słówko, aż wreszcie:

— Pan Tempski z Kożeczkowa zaczyna rachować —
Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. Patrzcie co tu [chłopa,
Z tym co workiem jest nakryty będzie cała kopa,
Ta sromota (mówi Czorliński) już do reszty zraniła [mi serce;
Już nie chciałem zostać dłużej w takiej poniewierce,
Więc gwałtownie chwytam worek i z głowy go ździe- [ram,
I druchowi z Kożeczkowa groźnie w oczy wzieram.

I pyta go się czy poznaje Czorlińskiego z Chmielna? Ma się rozumieć poznali swego sąsiada i nuż na niego, dlaczego żydów wozi?... Ale pan Czorliński odciął się surowo — za co oburzył na siebie panów braci, którzy za łeb ściągnęli go z sani i rozpoczęli śledztwo w imieniu praw szlachectwa:

Powiedz czy ci cnota, honor i szlachectwo za nic —
Żebyś będąc katolikiem — żydom mógł furmanić.

Wytłomaczył się jednak Czorliński ze swoich politycznych dążności, a ów fakt czynnego wystąpienia w obronie wiary chrześciańskiej i mąk bożych — tak się podobał braci szlachcie, że aż Czorlińskiego poproszono do stołu.

Już wszystko zapomniano mu, a każdy prawie z kolei fetuje go i ugaszcza. Nawet żona Dąbrowskiego, przewodnika zjazdu a brata szlachcica nawarzyła mu najlepszych potraw kaszubskich.

Kiedym skończył jeść (mówi Czorliński) wtedym zło- [żył grzecznie swą podziękę
I po polsku — jakiem szlachcic — cmuchnąłem ją [w rękę,
Ona rada — że ją chwalę, czule mnie ścisnęła,
Od wielkiego szczęścia — aż mnie wnet gorączka [wzięła...

Tu muszę przypomnieć czytelnikom, że jest to opowiadanie a raczej list Czorlińskiego, czytany przez szkolnika jego żonce Basi. Wszystko dla Czorlińskiej było dotąd znośnem, ale skoro usłyszała ostatnie słowa nie pochamowana w gniewie zaczyna złorzeczyć:

Dość już niech pan szkolny dalej mnie nie czyta,
Bo tę kartę tu na miejscu podrę na kawałki,
Teraz masz — ktoby się to spodział, że on tak fał- [szywy —

Ja go przecież kocham szczerze nad wszystko na [świecie,
A on płaci niewiernością mnie biednej kobiecie.
Wina ta nie będzie tobie darowaną —
Choćbym ciebie dziś przed sobą w swojej chacie [miała —
Tobym tobie na przekorę gęby już nie dała.

Gniew jednak Czorlińskiej uspokoił nieco rozumny szkolnik i czytał list dalej.

Kiedy pan Czorliński w Kantrzynie pił i jadł— żydki rozbiegli się za handlem, a jeden z nich nakupił jaj. Kiedy nadeszła pora odjazdu, drugi z żydów nie wiedząc o niczem usiadł na worku z jajami i pogniótł je zupełnie. Zaczyna się sprzeczka, a potem bijatyka. W pobliżu stojący policyant aresztuje żydów, Czorliński zostaje sam. Co ma począć: czy czekać póki żydów nie wypuszczą z kozy, czy jechać do domu. Honor jednak szlachcica przemaga, a ponieważ przyrzekł, że odstawi żydów do Conowa, aby zatem i wilk był syty i koza cała, wyruszył do Conowa, zkąd natychmiast obiecywał sobie powrócić. Tymczasem inaczej się stało. Zaaresztowani żydzi wypuszczeni na drugi dzień z kozy, rozgniewani na Czorlińskiego, zawiadomili conowską policyę, że furman ich umknął z ich skórkami. Policya przytrzymała Czorlińskiego i rzeczywiście znalazła żydowskie skórki, ale za to nie odpowiadałby tak surowo przed sądem, gdyby był aresztującego go strażnika nie pobił za nazwanie złodziejem: zasadzony do więzienia siedział tam przez dwa miesiące, aż go wreszcie wypuścili. Ale tymczasem dobytek zmarniał. Konie niedopatrywane w Conowie pozdychały, pozostał tylko przy jednych saniach, na których przy pomocy żydowskiej szkapy podróż dalej odbywał. Ale i te załamały się i wpadły do wody.

Przyczyną wszystkich tych nieszczęść była czapka zrobiona przez Szmula — którą on potrafił zaczarować.

W tym duchu ciągnie się całe opowiadanie bardzo żywo i wesoło. Czorliński w końcu kupił sieci w Pucku i powrócił do Chmielna, a czapkę zwrócił oszustowi Szmulkowi, która nawet żyda do nieszczęścia doprowadziła.

Pierwszy połów Czorlińskiego nową siecią opłacił się bardzo dobrze, gdyż ułowił utopionego Szmula.

Smutniej jednak kończy się ta powiastka bo:

Czorlińskiemu się potem pomieszało w głowie,
A niemczyska go zrobili burmistrzem w Betowie.

Ów dzielny Czorliński to historya całego narodu.

Rzeczywiście Derdowski zna zwyczaje i obyczaje Kaszubów, umie zastosować się do ich pojęć, a w tej niewielkiej książeczce odzwierciedlił ten mały kraj jak najwyborniej.

Jak Czorliński, tak i cały naród zwolna traci swoją niezależność, w tak licznym otoczeniu żywiołem niemieckim.

Szczególnej okolice Bytowa są coraz więcej wynaradawiane. Sam Hilferding pisze:

W wioskach położonych na północno zachodnich granicach Bytowa, a mianowicie: w Niedarzynie i Grzymnicy niektórzy starcy umieją jeszcze po kaszubsku. Zdarzają się jednak parafie, jak np. w Mószternie, gdzie pastor zakazuje swoim parafianom mówić po kaszubsku. Jeden ze starców opowiadał Hilferdingowi, że aż do siedmioletniej wojny była tu „czysto Polska", wszyscy mówili tylko po kaszubsku. Potem jednakże król niemiecki przykazał, żeby wszystkie dzieci uczyły się po niemiecku i wszyscy zmuszeni byli zadość czynić woli królewskiej. Tak rzeczywiście było. Jeszcze w 1814 roku żywioł słowiański był tu przeważającym, jakkolwiek starcy urodzeni w 1791 roku, opowiadali, że nie pamiętają w szkołach innych — prócz niemieckich wykładów, ale na czele każdej parafii stał wówczas jeszcze uczciwy pasterz, który gorliwem słowem zachęcał do zachowywania mowy praojców...

W epopei tej a raczej opowiadaniu, uchwycił Dyrdowski i przedstawił prawie w najdrobniejszych szczegółach życie tego odrwanego od całej gromady innych plemion słowiańskich ludu.

Jako książka ma podwójne zalety, raz że autor przedstawił wyśmienicie, nawet bardzo artystycznie życie i obyczaje tego ludu, powtórnie, że potrafił opowiedzieć to dowcipnie, a przytem z niezwykłą obrazowością.

Wogóle rzeczy tyczące się rozpraw, wyszły tu bezporównania słabiej. Sejmik, to znów owe narady żydów u Szmula, zostały nie wykończone, za to wybornie kreśli inne obrazy autor np. kiedy Czorliński po tej wyprawie powraca do domu a pies Burek wybiega i spotyka swego pana.

Biegnie — jakby gnał szaraka, coraz, coraz chyżej,
I wskoczywszy na wóz gębę panu liże.

Znajduje się i mały synek Czorlińskiego Jaś.

On go na kolana sadza i całuje,
Chłopak objął ręką ojca — a nianieczkę drugą,
I pieści się z swym ojcem chwilę dosyć długą.

Książeczka ta pisana dla ludu ma rzeczywiście doniosłą wartość. Każdy wieśniak odczyta ją niezawodnie z zajęciem, i znajdzie tam prawdziwy swój obraz z takim dowcipem odmalowany. Inteligentny człowiek oceni tu prawdę, z jaką autor odzwierciadla życie ludu.

Wprawdzie znać, że Derdowski zna dobrze starą i nowszą literaturę, że korzysta z wzorów Homera i Mickiewicza, ale przecież są to wzory godne do naśladowania. Z całości, najlepiej złożona jest księga pierwsza. Myśl w niej jasno i logicznie przeprowadzona.

Słabiej wije się opowieść w dwóch następnych księgach, rozdziały następujące po sobie, zdają się być naciągane, nie wywiązują się one tak już jak w pierwszej części. Bądź co bądź jest to objaw bardzo piękny. Więcej takich książeczek, a istność biednych wyzyskiwanych i wynaradawianych Kaszubów, stanie się zabezpieczoną. W równie smutnych a może o wiele jeszcze smutniejszych stosunkach byli Czesi, gdyż im zabrakło pokrewnej mowy, jaką jest polska dla Kaszubów. A jednak naród ten ożył. Tymbardziej Kaszubi, którzy posiłkują się naszemi książeczkami do nabożeństwa, którzy z Polską złączeni są ściśle jak się o tem możemy najlepiej z książeczki Derdowskiego przekonać:

Czujcie to ze serca toni,
Nasz skład apostolski,
Niemasz Kaszub bez Polonii,
A bez Kaszub Polski.

Wreszcie z przytoczonych kilku wierszy można się najlepiej przekonać jak ten język jest pokrewny z naszym.

Do tego dołączają się i szczere chęci całego ludu. Derdowski pisząc swoją opowieść, ofiarował ją J. I. Kraszewskiemu, a w niej oprócz pięknego i szczerego wstępu wiele jeszcze wiele szlachetnych znajduje się myśli, któreśmy winni uszanować i poprzeć. Kreśląc tych słów parę, chcę przypomnieć Czytelniczkom nieszczęśliwego Kaszuba, który jak biedak, stoi przyparty do muru. Srogi napastnik zabrał mu prawie wszystko a dziś ostatki, t. j. wiarę i mowę jego ojczystą chcę mu wydrzeć.

Nie bądźmy więc obojętni i stańmy w obronie praw pokrzywdzonego, a gdy grosz jaki zostanie zbytecznym, zróbmy z niego ofiarę na oświatę tych nieszczęśliwych i zapomnianych naszych współbraci.

KONIEC.

WZROK SERCA.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

p. EMILA ABRAHAM.

Przekład z francuzkiego

K. Gościmskiej.

OSOBY:

Amelia.
Lucyan.

Scena przedstawia elegancko umeblowany buduar.

SCENA I.

AMELIA, LUCYAN.

Za podniesieniem zasłony, Amelia siedzi na kanapie zajęta robotą na kanwie, Lucyan siedzi obok niej, trzymając kapelusz w ręku.

AMELIA. Pisujesz pan, o ile mi się zdaje, do tych ulotnych małych dzienników?...

LUCYAN. Ulotnych?... Nie jesteś pani zbyt wspaniałomyślną. Należy się więcej uznania dla nieszczęśliwej odwagi.

AMELIA. Czy dlatego, że się oddajesz tej literaturze po tanich cenach, sądzisz, że posiadasz tak wiele dowcipu?

LUCYAN. Sądzę że posiadam go tyle co wszyscy.

AMELIA. To jest, że wszyscy go panu przyznają?

LUCYAN. Nie to, ale każdy myśli, że jest nim obdarzony.

AMELIA. Czy to mnie się dotyczy?

LUCYAN. Nie miałem myśli dotknąć panią jakimś przycinkiem. Ale gdyby i tak było?... Niepodobna ażebyś pani nie znała swojej wartości.

AMELIA. Otóż powtarza się historya słomki w oku sąsiada.

LUCYAN. Czyż to dlatego, że panią kocham, przyprowadzasz mnie do rozpaczy?

AMELIA. A któż pana prosił żebyś mnie kochał?

LUCYAN. Czyż to moja wina, że jesteś pani piękną i rozumną?

AMELIA. Znajdujesz mnie pan piękną, gdyż patrzysz na mnie przez pryzmat, który upiększa osoby ukochane.

LUCYAN. Jesteś piękną, powtarzam!... Ah! nie jestem wcale zaślepiony... Patrzę na panią wzrokiem...

AMELIA (przerywając). Wzrokiem serca! I dlatego, gdy pańska ironia nie oszczędza żadnej z naszych znajomych pań, ja tylko sama nie jestem jej ofiarą.

LUCYAN. I jakaż za to dla mnie nagroda? Przed chwilą zarzuciłaś mi pani zarozumiałość, wadę, której najbardziej nienawidzę.

AMELIA. Masz ich pan wiele innych, ale ta jest najwięcej rozwinięta.

LUCYAN. Na czem pani opierasz ten swój sąd?

AMELIA. Na pewności z jaką obstajesz przy swojem zdaniu. Już od godziny starasz mi się dowieść, że śmieszność zabija miłość, gniewa to pana, że jestem przeciwnego zdania. Ah! z tego można się przekonać, że kochasz pan tylko imaginacyą, ale nie sercem.

LUCYAN. Pani, przysięgam...

AMELIA. Chcesz mi powtórzyć jeszcze te wszystkie piękne słówka... Nie żenuj się! W mojem położeniu jest się przyzwyczajoną do bombardowania niedorzecznościami.

LUCYAN. W pani położeniu?

AMELIA. No, tak, w położeniu młodej wdowy, ale prowadźmy dalej naszą rozprawę, to zabawniejsze i mniej niebezpieczne.

LUCYAN. Mniej niebezpieczne!... Jeszcze jedno szyderstwo...

AMELIA. Mniej niebezpieczne... dla pana. Powiedz mi proszę, co nazywasz śmiesznością w kobiecie?

LUCYAN. Śmieszność sama razi w oczy, ale byłoby trudno ją określić.

AMELIA. Uszczęśliwiłeś mnie długą rozprawą o ogrzewaczkach... postawiłeś jako aksiomat, iż jest śmiesznością ich używać... Tak więc ponieważ śmieszność zabija miłość, byłoby zapewne aż nadto wystarczającem, gdyby kobieta kochana przez pana używała pod nogi ogrzewaczki, niewinnej ogrzewaczki, aby natychmiast ta miłość zagasła?

LUCYAN. Trzeba ten przyrząd pozostawić tym biedaczkom sprzedającym dzienniki, które drżą z zimna w budkach przezwanych kioskami i woźnicom omnibusów.

AMELIA. Co nazywasz pan jeszcze śmiesznością?

LUCYAN. Te tysiąc nic, które rażą u osób postawionych przez swe wychowanie w pierwszym rzędzie społeczeństwa. Bardzo wiele jest pospolitych upodobań zdradzających ograniczony umysł. Są kobiety zdolne do wychowywania zwierząt z prawdziwie macierzyńską czułością i zdarzały się wypadki, iż zapisywały majątki psu albo wiewiórce.

AMELIA (z udaną powagą). To niegodne!

LUCYAN. Kobieta nie może być zanadto uważającą pod względem swego stroju: ubrać się mając lat dwadzieścia w suknię staroświecką w kwiaty i w żółty kapelusz, byłby to zupełny brak gustu, tak jak w pięćdziesiątym roku życia wystroić się w krzyczącą toaletę, byłoby szczytem śmiesznej pretensyi.

AMELIA. Przyznaję panu w tem słuszność, ale mów dalej.

LUCYAN. Nie można dosyć napotępiać zwyczaju jaki mają niektóre panie, pozostając przez dwie godziny przed zwierciadłem, aby mazać sobie twarz różem i bielidłem, jak aktorka, która ma odgrywać rolę niewiniątka, któremu przestała być już od ćwierć wieku.

AMELIA. I cóż jeszcze?

LUCYAN. A jeszcze?... Nie skończyłbym tak prędko tyle byłoby jeszcze do mówienia w tym przedmiocie... Ale czy pani wie co jest piramidalne, potworne... (powstaje i przechodzi na prawo) to jeżeli kobieta nosi watowany kaptur.

AMELIA. To zbrodnia!

LUCYAN. Pani, gdybym miał prowadzić pod rękę na ulicy głowę ozdobioną watowanym kapturem, wolałbym się raczej zastrzelić.

(Amelia śmieje się głośno).

AMELIA. Bawisz mnie pan. (Kładzie robotę na stoliku i zwija włóczkę.)

LUCYAN. Cieszy mnie to mocno. Jestem szczęśliwy, że mogłem panią rozweselić, a pomówmy, jeżeli pani pozwoli, o ważniejszych rzeczach.

AMELIA. O tym sławnym procesie?

LUCYAN. O mojej miłości!

AMELIA. Wytaczasz mi pan proces z tego powodu?

LUCYAN. Który myślę wygrać.

AMELIA. Wygrasz... jeżeli potrafisz wymownie bronić swojej sprawy.

LUCYAN (ściskając jej rękę). Dziękuję.

AMELIA. Ah! jaki pan jesteś żywy!... Przez pana upuściłam włóczkę. (Schyla się.)

LUCYAN (podchodzi, stawia kapelusz na stole i schyla się). Pozwól pani! Tak, wygram moją sprawę, gdyż bronić jej będę wymową serca, i... (Podnosząc się.) Ah!

AMELIA. Cóż to panu?

LUCYAN. Oparzyłem się.

AMELIA. Dotknąłeś się pan ogrzewaczki.

LUCYAN. Co!

AMELIA (udając niezadowolenie). Nieroztważna!

LUCYAN. Co pani mówisz?

AMELIA. Ja?... Nic!

LUCYAN. Ogrzewaczka!

AMELIA. Robię na panu wrażenie sprzedającej dzienniki?

LUCYAN. Ogrzewaczka. (Przechodzi na prawo.)

AMELIA. A może woźnicy omnibusu?

LUCYAN (zaambarasowany). Zima jest bardzo srogą tego roku!

AMELIA. Na termometrze inżyniera Chevalier było wczoraj dziesięć stopni poniżej zera.

LUCYAN. Zresztą, moda, to kapryśna bogini, odnosi zwycięztwo nad wszelkiemi przesądami... i dziś ogrzewaczka jest w bardzo dobrym guście.

AMELIA. Bogu dzięki!... (Po chwili.) Mniejsza o ten mały grzeszek! Ale nie należę przynajmniej do tych kobiet, które wychowują zwierzęta i watują się.

LUCYAN. Nie chciałbym pani obrazić posądzając ją o to.

AMELIA. Nie jestem taką jak pani Desbordes, która posiada całe folwarczne gospodarstwo mieszkając przy ulicy du Bac.

LUCYAN. Nic mnie nie zadziwia ze strony osoby utrapionej taką massą piegów.

AMELIA. Mówiąc o niej, przypomniałam sobie, że mnie dziś pani Desbordes zaprosiła na obiad. (Kładzie włóczkę na stole.)

LUCYAN. I... pani pójdziesz?

AMELIA. Bezwątpienia.

LUCYAN. A więc... wypędzasz mnie pani...

AMELIA. Jestem na to za grzeczna. (Wstaje.)

LUCYAN. Tylko—prosisz mnie pani, żebym sobie poszedł.

AMELIA. Podasz mi pan ramię i odprowadzisz, a jutro, przyjdziesz mnie odwiedzić.

LUCYAN. Jaka pani dobra!

AMELIA. Zkąd pan wiesz o tem? Znasz mnie tak mało, tak mało.

LUCYAN. Znam panią dosyć, aby ją ocenić.

AMELIA. Wzrokiem serca.

LUCYAN. Czy chcesz pani, abym wypowiedział jej prawdę?

AMELIA. Może chcesz pan wyliczyć moje śmieszności?

LUCYAN. Jak możesz pani tak sądzić?

AMELIA. A więc?...

LUCYAN. A więc, jesteś, jesteś pani roztargnioną, niezdecydowaną, niekiedy nadto ironiczną, często bardzo kapryśną, otóż to są wady. Teraz co do zalet. (Mówi szybko.) Jesteś pani tak ładną jak tylko być można, pełna nadzwyczajnego wdzięku, posiadasz wyborne serce, umysł jak rzadko i nie znam żadnej kobiety, którąby była godną iść z panią w porównanie.

AMELIA. Jeżeli posiadam jaką zaletę, to tę, że się nie obrażam za szczere uwagi, których mi kto łaskaw jest udzielić i dziękuję panu. (Podaje mu rękę, którą Lucyan całuje, Amelia kaszle.)

LUCYAN. Jesteś pani zakatarzona?

(Amelia idzie na przód sceny.)

AMELIA. Boję się tego... ten buduar jest zimny jak lodownia.

LUCYAN. Może pani okryje się szalem?

AMELIA. Bądź pan tak dobry przynieść mi go, leży na kanapie w salonie.

LUCYAN. W tej chwili. (Idzie do drzwi w głębi na lewo.)

AMELIA. Tylko powoli.

LUCYAN (na progu drzwi). Czy kto śpi?

AMELIA. Tak... Narcyz.

LUCYAN. Narcyz?

AMELIA. Prześliczny kot angora.

LUCYAN. Kot angora?...

AMELIA (niby do siebie). Aj!... cóżem powiedziała!

LUCYAN (wracając do niej). Kot!... u pani?

AMELIA. To nie do darowania?

LUCYAN. Amelio!

AMELIA. Litujesz się pan nade mną?

LUCYAN. Wprawdzie niemam żadnej sympatyi do kotów, lecz mniej jeszcze lubię myszy... Te małe stworzonka są tak nieprzyjemne.

AMELIA. Wyobraź pan sobie, że pustoszyły moje mieszkanie.

LUCYAN. Tak więc masz pani kota tylko chwilowo?

AMELIA. To mój mąż mi go dał.

LUCYAN (z uśmiechem). Czy umieścił go pośród podarunków ślubnych?

AMELIA (żywo). Proszę o szal... marznę.

LUCYAN. Zapomniałem. (Wchodzi na lewo.)

SCENA II.

AMELIA (sama). Bawi mnie!... Szczególny człowiek! Sądzi że jest poważnym mężczyzną, a to tylko uparty dzieciak, którego można ułagodzić lada łakotką. Zdaje mu się, że posiada zdrowy sąd, a podjęłabym się doprowadzić go do tego żeby był w sprzeczności z sobą samym dwadzieścia

razy na godzinę. Ah! panowie! gdybyście tacy byli po ślubie jak jesteście przed ślubem, jakże bylibyśmy szczęśliwe!... i jakże lepiej rozumielibyście swój własny interes! (Przechodzi na lewo.)

(D. n.)

O STAŃ SIĘ ŚWIATŁO!

O stań się światło! zwalcz siłę zmroków,
Co swym całunem opasują ziemię —
Niechaj od blasku twojego polotów
Ludzkie odrodzi się plemię.

O stań się światło! na bratnich serc niwie,
A polot myśli ozłociwszy chyżej —
Spraw niech nie zadrży, w swym biegu trwożliwie,
Ku wiedzy wyżej! a wyżej!

O stań się światło! i na ludzkich torach,
Promieniem swoim stop lody przesądu
I nie daj marnieć geniuszom w zaporach,
Zastarzałego poglądu...

O stań się światło! niech wieków szeregi,
Zdobyte walką wytkną synom drogi,
Czyste, bez kałuż — a z silnymi brzegi —
I niech zakwitną odłogi...

O stań się światło! a strun rdzawych dźwięki —
Już się nie złamią w ludzkiej piersi echem,
I brzmieć nie będą uciśnionych jęki,
Witane często z uśmiechem...

O stań się światło! i spój nasze dłonie —
Czynami: wiary, nadziei, miłości —
A na ołtarzu twym barwnie zapłonie —
Jutrzenka dziejów ludzkości.

Konstancya Więckowska.

OSTATNI Z RODU.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

Skreślił

Władysław Kor. Zieliński.

(Dalszy ciąg.)

Zamojski radby był pośpieszyć na pomoc uciśnionym i pragnął ostatecznie położyć koniec bratniemu rozlewowi krwi, lecz cóż kiedy wiele powodów zatrzymywało go na miejscu, a mianowicie, brak żołdu, niegotowość rynsztunku, mała ilość rycerstwa, nakoniec nieustalona zima, rozmiękłe i przepaściste drogi. Skoro jednak jako tako przysposobił się do wyruszenia na przeciwnika, posiłki otrzymał, a mrozy ścisnęły ziemię, wtedy Zamojski opatrzony błogosławieństwem króla w dniu 13 stycznia 1588 r. wyruszył na wyprawę z pod Krakowa, wysełając z przednią strażą Aleksandra Koniecpolskiego i rozgłaszając na wszystkie strony, że sam z licznemi siłami tuż za nim postępuje. Tymczasem nieprzyjaciel dowiedziawszy się, że to tylko mały był hufiec, wiary dawać nie chciał, żeby Zamojski tuż za nim podążał. Zniesione dopiero i rozproszone przez Koniecpolskiego nieprzyjacielskie czaty, doniosły o zbliżeniu się całego wojska polskiego. Maksymilian aczkolwiek znacznie przeważniejsze siły posiadał, jednak nieodważył się pod Wieluniem przyjąć bitwy a nadto spodziewając się posiłków z Węgier i Morawy, jako też ufny w układy istniejące między Austryą i Polską, sądząc, że wódz polski nie wtargnie za nim w granice cesarstwa, odciągnął pod Byczynę na Szlązku.

Nie zastawszy pod Wieluniem nieprzyjaciela, nie tracąc czasu wysłał zaraz przodem Koniecpolskiego, Jakóba Potockiego, Jana Zamojskiego krewniaka swego i dzielnego Gabryela Hołubka, sam zaś niebawem z całym wojskiem podążył za niemi. Wojsko pozostające pod wodzą Zamojskiego liczyło tylko 7,000 ludzi, lecz były to szyki doświadczone, będące przy hetmanie od początku oblężenia Krakowa, kilka zaś tysięcy piechoty i jazdy należących do przedniejszych panów i biskupów uzupełniały tę małą armię. Nadciągnęli też z pomocą Zamojskiemu Baltazar synowiec Zygmunta księcia Siedmiogrodzkiego, Jan Boremisa i Albert Koralis.

Szeregi Zamojskiego oblane srebrnym blaskiem księżycowych promieni, wśród iskrzącej się mroźnej i pogodnej nocy, postępowały w cichości. Przodem wysłane zwiady wróciły jeszcze przed świtem przynosząc z sobą dokładną wiadomość o okolicy i drogach wiodących do Byczyny. Nieprzyjaciel rozłożony pod Byczyną sądził, że Zamojski nadciągnie od królewskiego gościńca, lecz ten przewidując to i chcąc na nieprzyjaciela uderzyć z boku, skręcił z wojskami swemi na prawo. Dnia następnego 24 stycznia, a był to dzień niedzielny, na dwie godziny przed południem oba wojska stanęły naprzeciw siebie. Rankiem dnia tego, długo przez Maksymiliana oczekiwane posiłki nadciągnęły i ten czując się dosyć silnym, aby przyjąć bitwę, wszystkie swe zastępy wywiódł z miasta w otwarte pole.

Mniemając, że Zamojski wielką nadciągnie drogą, Andrzej Zborowski marszałek nadworny mający najwyższą władzę nad wszystkiemi wojskami, zwrócił je czołem ku tejże. Oba wojska dzieliła grobla nader trudna do przebycia, a do opanowania której Maksymilianczycy wzięli się za późno, bo Zamojski zatoczywszy działa i spędziwszy z niej Niemców, przeszedł przez nią i na równinie rozciągającej się po za groblą rozwinął swe szyki.

Zamojski przekonawszy się o rozpołożeniu niemieckich szyków, spostrzegł, że lewe nieprzyjacielskie skrzydło jest słabe i zupełnie odsłonięte, wszystkie bowiem siły, przez Zborowskiego na środek zgromadzone były. Pięć godzin jeszcze pozostawało do nocy i mimo doradzań Farensbacha i Pękosławskiego, Zamojski postanowił uderzyć na wroga. Na lewem skrzydle z wyborem jazdy stanęli Karnkowski, Jakób Potocki, Baltazar Batory, Stanisław Żółkiewski syn, Stanisław Przyjemski, młody Piotr Łaski, Boromisa Albert Kralius, Aleksander Koniecpolski, Stefan Kazimierski, Stanisławski kuchmistrz koronny, Jan Osiecki, Holsztyński, Kasper Maciejowski starosta Sierpski, Stanisław Pękosławski starosta Sandomierski i Piotr Myszkowski starosta oświecimski. Na prawem zaś skrzydle pod wodzą Mikołaja Urowieckiego stanęli Stefan Grudziński kasztelan Nakielski, Stanisław Bykowski kasztelan Konarski i Ligęza starosta Opoczyński. W centrum zaś stanął sam Zamojski z pięciu chorągwiami piechoty i wyborem wojska, mając w odwodzie Abramowicza z Tatarami. Ze strony przeciwnej stali Węgrzy naprzeciw Siedmiogrodzianom, będącym pod wodzą Batorego, Niemcy zaś i Zborowianie naprzeciw ciężkiej jeździe, przeciw innym zaś hufcom stali Morawianie i Szlązacy.

Na wzgórzu wśród pola zkąd na wszystkie strony obszerny rozciągał się widok, stanął arcyksiążę Maksymilian, mając u boku swego Górkę, Zborowskiego i Czarnkowskiego, oraz całe rycerstwo dworu swego i dział liczbę niemałą. Zamojski nie zwlekając, wydawszy potrzebne rozkazy, kazał uderzyć w trąby, dając tem znak do rozpoczęcia walki. Na odgłos trąb wzywających do boju, Hołubek i Jan Zamojski krewniak hetmana rozpoczęli z wrogiem harce udając jakoby od miasta tył wziąść mu chcieli, tymczasem zaś hertman z hufcami swemi górę na której stał arcyksiążę obchodzić począł. Hołubek niekontentując się podjazdową utarczką, z zastępem swoim rzucił się na dworskie roty arcyksięcia, lecz odparty ze stratą legł śmiercią walecznych. Widząc to pułki Hołubka, z placu boju uchodzić poczęły, tymczasem lewe skrzydło wojsk Zamojskiego, uderzyło na przeciwne hufce będące pod wodzą Stadnickiego. I starli się Polacy z Polakami i starcie było okropne, krwawe i zacięte, mimo tego Zygmuntowscy, przeciwników złamali i rozproszyli. W chwili tej, Prepostuary dowodzący Węgrami arcyksięcia i stojący naprzeciw Siedmiogrodzianom, kazał pułkom swoim zmienić szyk, lecz te poruszenie owe biorąc za rozkaz do odwrotu, puściły się w ucieczkę. Korzystając z tej omyłki, Żółkiewski z prawem swem skrzydłem rzucił się na wybór jazdy niemieckiej, która po krwawej walce zaatakowana nadto niespodzianie z za góry przez hetmana, w największym bezładzie z pola bitwy pierzchać poczęła. Szala zwycięztwa przechyliła się na stronę Zygmuntowskich i gdy arcyksiążę długo opierał się namowom by uchodził z pola bitwy, przez Erazma Lichtensteina do miasta Byczyny gwałtem uprowadzony został.

Rozproszone szczątki nieprzyjaciół ścigano i bito, niedługo jednak, bo hetman rozproszone hufce zabrawszy opasał Byczynę, w której zamknął się Maksymilian. Już szturm przypuszczać poczęto, już żołnierz uniesiony szałem zwycięztwa i chciwy łupów rąbać począł bramy i wdzierał się na słabo bronione mury, gdy ze szczytu wałów zażądano chwilowego rozejmu i rozmowy. Zaprzestano więc rozpoczętego szturmu i z bram oblężonej Byczyny wyszli Aleksander książę Pruński, Stanisław Ciołek i Jan Logins, żądając rozmowy z Zamojskim, któremu wymawiać poczęli w imieniu Maksymiliana, że wkroczył jako nieprzyjaciel w obce granice państwa przyjacielskiego i nadto, że miasto szturmem chce zdobyć. Po krótkich pertraktacyach i sporach, nakoniec przystąpiono do ułożenia warunków poddania się.

Mrok już wieczorny zapadać począł, gdy arcyksiążę Maksymilian wyjechał z Byczyny i hetmanowi, który go z uszanowaniem witał, doręczył szpadę. Wraz z Maksymilianem dostali się także w niewolę: Stanisław Górka wojewoda Poznański, Andrzej Zborowski, Stanisław Karnkowski, książę Pruński, Ernest Frkań, Erazm Lichtenstein, Fryderyk Konian, Franciszek Köwenhiller, Engelhard Curtius i wielu innych. Zaś Woroniecki biskup nominat Kijowski, Stanisław Dyabeł Stadnicki, Piotr Dunin, Krzysztof Warszewicki i inni, nie czekając poddania się arcyksięcia, umknęli do Wrocławia.

Świetne te zwycięztwo nad przeciwnikami i wrogami Zamojskiego, kładąc koniec swarom i zatargom utrwaliło nareszcie koronę na głowie Zygmunta III.

IX.

Kiedy kanclerz hetman Zamojski, z rycerstwem polskim, ścigał Maksymiliana, około młodego króla zebrane stany naradzały się nad sprawami i potrzebami Rzeczypospolitej, a w czem brał udział jako senator Aleksander Słucki młodszy brat Jana, ten co u boku Zamojskiego kruszył kopię z Maksymilianczykami.

Naradzające się stany, mimo wszelkich zabiegów czynionych przez Opalińskiego, postanowiły surowe kary na stronników Maksymiliana, których podzielono na trzy kategorye. Walczących z orężem w ręku ogłoszono nieprzyjaciołmi ojczyzny i polecono jako takich ścigać, chwytać a majątki ich zabierać na skarb publiczny. Tych co dopuścili się najazdów, gwałtów, plądrując zbrojnie po kraju wezwano, aby w ciągu czterech niedziel stawili się przed sądem złożonym z ośmiu senatorów i tyluż posłów. Tych zaś nakoniec, którzyby nie będąc przychylni Zygmuntowi III zachowali się spokojnie, uwolnić od kar i wszelkich pozwów.

Wśród tych narad i zapadających uchwał, po stolicy rozbiegać się poczęły wieści o zwycięztwie odniesionym pod Byczyną, lecz tak senatorowie, jak też i król sam stanowczej wiary dawać jem nie chcieli. Wtem rankiem w dniu 28 stycznia 1588 roku, w chwili w której Litwa podpisawszy ugodę złożyła królowi Zygmuntowi III dotąd jeszcze nie wykonaną przysięgę, do izby senatorskiej wszedł Ciekliński wysłannik hetmana, który dokładną wiadomość o odniesionem zwycięztwie królowi i senatorowi złożył.

Wiadomość przywieziona przez gońca hetmańskiego, wywołała radość niezmierną. W świątyniach rozbrzmiewały hymny radośne, a król i senat u stóp ołtarzy składali dziękczynienia.

W dni parę później przyszli do Krakowa posłowie od zwycięzkiego wojska, po dwóch z każdej chorągwi, aby złożyć królowi zdobyte trofea a zarazem i hołd należny. W gronie przybyłych, prowadzonych przez Jana Ostroroga rotmistrza, który doręczył królowi list hetmana, znajdował się i Jan Siemion książę Słucki.

Po uchwaleniu, aby jeńców polskich ujętych pod Byczyną osadzono w zamku Kwidzyńskim a Maksymiliana z Zborowskimi pod strażą Jakóba Sobieskiego w Krasnymstawie, i po pogrzebaniu w katedrze na Wawelu zwłok zmarłego króla, czemu byli obecni Zygmunt III, królowa wdowa Anna, królewna szwedzka siostra Zygmunta, posłowie zagraniczni, książęta Siedmiogrodzcy, senatorowie i t. d. Zamojski nie chcąc wystawiać na upokarzające widowisko, jeńca swego, mijając Kraków podążył do Krasnostawskiego zamku, gdzie go też osadził oddając Jakóbowi Sobieskiemu staroście Krasnostawskiemu pod straż szczególną. Książę Jan ulegając prośbom tak Zamojskiego jako też i Sobieskiego, zgodził się na pozostanie w Krasnymstawie czas jakiś, by w dozorowaniu dostojnego więźnia i jego towarzyszy nieść pomoc staroście Krasnostawskiemu. W dni parę po przybyciu do Krasnegostawu, książę Jan przez ciąg elekcyi i całej wojny, nie mając żadnych wieści z Lublina, wysłał Powałę z listami do Żędziana i burgrabi Kraśnickiego Andrzeja Nowina Koźli.

Zamek Krasnostawski stanowiący dosyć rozległy czworobok, utworzony przez jedno i dwu piętrowe gmachy łączące się z sobą i ozdobione na narożnikach wysokiemi okrągłemi basztami, otoczony był wałami i fosą przez którą na dziedziniec zamkowy prowadził most zwodzony. Zamek pomieniony wznosił się na dosyć wyniosłym lewym brzegu u stóp przepływającej rzeki Wieprza, przez którą nieopodal na brzeg przeciwny dostać się było można za pomocą przewozu przez miasto utrzymywanego. Naprzeciw zamku również na lewym brzegu rzeki wznosiła się piękna, w stylu gotyckim przez Zygmunta Augusta 1542 roku zbudowana grecka cerkiew, pod wezwaniej Świętej Trójcy.

W północnej stronie od zamku znacznie wyżej rozciągało się miasto wraz z przedmieściami i dworcem starościńskim okolonym wałami i ostrokołami. Tuż obok świątyni zbudowanej w pośród obszernego placu, w zachodniej stronie miasta, wznosił się piękny lecz również warowny dworzec biskupów Chełmickich, którzy blizko lat temu sto bo r. 1490, swą siedzibę z Hrubieszowa do Krasnegostawu przenieśli, a to za sprawą i staraniem Macieja ze Starej Łomży biskupa Chełmskiego, zmarłego 1505 roku. Obecnie dworzec ten już jako piętnasty z rzędu w Krasnymstawie przebywający biskup Chełmski, zamieszkiwał Wawrzyniec Grzymała Goślicki, człowiek wysokich cnót i pobożności. On też to z rozkazu królewskiego, przy arcyksięciu Maksymilianie bawiącym w zamku Krasnostawskim, spełniał obowiązki spowiednika z czego jednak arcyksiążę nie był wielce zadowolony. Pragnął bowiem mieć u boku swego księdza Jana Völkla należącego do zgromadzenia OO. Jezuitów, który towarzyszył mu w wyprawie po koronę polską i który jako wielce zaufany mógł dopomagać do utrzymania ciągłej a tajnej korespondencyi nietylko z cesarzem Rudolfem II, lecz co ważniejsza i z jego stronnikami za pośrednictwem których miał jeszcze nadzieję, że zruciwszy z tronu Zygmunta III-go wstąpi na takowy.

Zamek Krasnostawski był dosyć obszerny, otóż więc w jednym ze skrzydeł jego a mianowicie od strony rzeki na górnym piętrze, były komnaty zajmowane przez arcyksięcia. Tuż obok nich w dwóch komnatach z oknami wychodzącemi na południe i wschód zamieszkał książę Jan Siemion Słucki. Ze strony przeciwnej od zachodu, było pomieszkanie Jakóba Sobieskiego, łączące się z komnatami, które od czasu do czasu przybywając do Krasnegostawu zajmował Zamojski. Do komnat zajmowanych przez księcia Słuckiego prowadziły wschody kamienne łączące się z krużgankiem okalającym wewnętrzny podwórzec zamkowy. W baszcie narożnej, przypierającej do mieszkania księcia Jana, zkąd piękny i rozległy roztaczał się widok na wężykiem wijącą się rzekę i po za nią wznoszące się wyżyny, oraz daleko ciągnące się nadwieprzańskie łąki i pastwiska, znajdowała się pracownia księcia, w której siedząc przy kominku otulony dostatniem futrem pędził czas powolnie mu płynący rozczytując się w księgach obejmujących prawa i przywileje narodu, albo też rozpisywał listy dotyczące obszernych jego włości.

Dnia pewnego, a było to już w pierwszych dniach marca, do komnat zajmowanych przez księcia, wprowadzony przez jednego z dworzan wszedł przed chwilą z Lublina przybyły Jakób Żędzian. Lecz jakaż to straszna zaszła w nim zmiana, od czasu jakeśmy go ostatni raz widzieli u Żurawskiego? Od onej chwili zaledwie rok czasu minął a Żędzian mimo, że był jeszcze w całej pełni i sile wieku męzkiego, pochylił się, włos mu pobielał zupełnie, twarz pokryła się zmarszczkami a oczy tak jasne i pogodne zapadły się głęboko świecąc ponuro.

Książę Jan, który zajęty był pisaniem listów, ujrzawszy do komnaty wchodzącego Żędziana, zerwał się od stolika, a wyciągając ręce z nietajoną radością pospieszając ku przybyłemu zawołał:

— Niech będzie pochwalone Imię Pańskie, że po tak długim czasie oglądać i witać was mogę!

Na to serdeczne powitanie, Żędzian nietylko, że równąż serdecznością nie odpowiedział lecz cofnąwszy się nieco przed zbliżającym się księciem, spojrzał nań ponuro i jakby otrząsając się z tłoczącego go smutku, drżącemi ustami zawołał:

— Nie mnie dziękować Bogu za tę chwilę! Owszem płakać należy mi nad tem, że w życiu mojem, drogi się nasze spotkały! Tak mości książę, przeklinać należy mi tę chwilę w której wam serce i dom mój otworzyłem i ściągnąłem hańbę na siwą głowę moją!

— Cóż znaczy ta mowa mości Jakóbie? — zapytał niczego niepojmujący książę Jan. — Cóż się stało że przybywacie do mnie z takiemi żałosnemi wymówkami? Czemżeż zasłużyłem na nie!?

— I wy, mości książę pytacie się o to? — zawołał Żędzian prostując się i z pognębieniem spoglądając na księcia.

— Ależ na Boga! zlitujcie się, bo nic a nic nie rozumiem! Co się stało i co tu zaszło nie wiem, wszakże prawie rok cały nie byłem w tych okolicach i sądziłem, że wracając w rodzinne strony inaczej przez was powitany będę.

— A tak! sądziliście, że was powitam pokornym pokłonem! — zawołał Żędzian — ale omyliliście się w rachubach swoich i przybyłem po to, aby zapytać się ciebie mości książę, dostojny potomku Jagiellonów, co uczyniłeś z moją Małgosią? Odpowiedz i wysłuchaj błagania nieszczęśliwego ojca i oddaj mi córkę, którąś jak rabuś jaki porwał i uwiózł z klasztoru.

— Więc Małgosia porwana i uwieziona? Przez kogóż, dokąd, gdzie i kiedy?

Żędzian zerwał się, wyprostowawszy się zawołał:

— Potworze, człowiecze bez serca i sumienia! Bądź przeklęty!

Rzekłszy to Żędzian, w najwyższem uniesieniu nie spojrzawszy nawet na księcia Jana, wybiegł z komnaty.

(D. c. n.)

POGADANKA.

Doczekaliśmy się już tedy i kalendarzowej jesieni.

Liście opadają z drzew, deszcz z wichrem hula sobie po świecie, a my tymczasem tak w naszej kochanej Warszawce, jak wogóle i na całym szmacie swojskiej ziemi, przypatrywać się musimy tysiącznym nadzwyczajnościom, na które doprawdy iż lepiej by było abyśmy się nie patrzeć mogli.

Pomijam już wszelkie wieści wojenne, pomijam bolesne zawody jakie w roku bieżącym spotkały naszych rolników, bo do tego powinniśmy już

przyzwyczaić oczy nasze. Od iluż to lat powtarza się bowiem taż sama historya smutna bied naszych, wywołująca też same pocieszenie w słowach „przecież już gorzej być nie może.” Ale co innego zupełnie zajmuje mnie i smuci — oto arcy niewesołe objawy naszego społecznego życia z któremi dotąd niespotykaliśmy się wcale, lub spotykali niesłychanie rzadko.

Czy ideały z przeszłości były zawsze dobre i korzystne dla nas, o to spierać się nie będę, kwestya to osobistych zapatrywań się, ale przyznać należy, iż ideały te egzystowały, gdy dzisiaj chociażbyś wziął Dyogenesową latarkę do ręki z jakimkolwiekbądź ideałem, chociażby on gruntował się na porcyi polędwicy z groszkiem, nie spotkasz się niezawodnie.

Życie biegnie z dnia na dzień, bez jutra, bez programu, bez myśli.

Ciekawą naprzykład założyćby można księgę z samych wypisów i wycinków dziennikarskich rozmaitych gazet, które przecie jako takie winny przedewszystkiem myśléć o zasadniczym programie własnym i o tem, aby w pojęciach swych czytelników nie tworzyć zamieszania pojęć, czegoś w rodzaju babelskiego nieporozumienia.

Jeżeli gdzie, to u nas, tego rodzaju prowadzenie dzieła publicznego, zasługuje na publiczne skarcenie przedewszystkiem, bo zaciemnia umysły i nikomu nic w zysku nie daje. Walki rasowe i plemienne po za granicami naszego kraju, naprzykład przeniesiono pod niebo, które nigdy na nic podobnego nie patrzało, które jakkolwiek niezawsze było jasnem i czystem, przecież burze szalejące pod niem miały w sobie jakiś szlachetniejszy charakter.

Tolerancya cudzych przekonań, i osobista wolność człowieka dochodziły tutaj do szczytów, jeżli niezawsze w czynach, to zawsze w pojęciach społecznych i prawnych.

Noża i pięści nieuważano nigdy za argumenty, walczono przeciwko nim, ale nieposługiwano się nigdy niemi.

Dziś zmieniły się czasy, dobrą wolę, serce, rozum, te najdzielniejsze środki rozwoju, zastąpiono grą na ludzkich namiętnościach i na gruncie polskim wychodowano roślinę egzotyczną, która prędzej czy później uschnąć musi, ale która przedtem jeszcze wiele szkody społeczeństwu przyniesie. Nie ma łatwiejszego gruntu dla takich wybryków, jak namiętności ludzkie, a w ostatnich zwłaszcza czasach uznano je za najodpowiedniejszy motor społeczny, rzucono się na cudze wierzenia i zawrzała walka zainicyowana pięścią, która bodajby się tem nie skończyła na czem rozpoczęła.

Mówimy tutaj naturalnie o walce tak zwanej antisemickiej, która z dniem każdym coraz zaostrza się więcej i coraz smutniejsze przybiera rozmiary.

Nikt mniemam nieośmieli się twierdzić, że żydzi nasi są bez grzechu, że oni jedyni posiadają patent na generalną doskonałość i wszelakie przymioty, jak twierdzi, przyznać należy najgorzej reprezentujący, polskich żydów „Izraelita”, gotów wszędzie i zawsze, nawet tam gdzie mowa o żydach nic wspólnego z nami niemającymi głos zabierać, ale z drugiej strony gdzież kto widział kiedy ludzi bez grzechu i czy sami o sobie powiedzięć możemy inaczej?

Chciałbym też bardzo, aby mi to powiedziała „Rola” p. Jeleńskiego, która twierdząc, że żydzi są przyczyną wszelkiego złego na świecie, po za wymyślaniem, niepotrafi nic innego jako remedium na to złe wynaleźć.

Według mojego przekonania złe leży nie w tych ujemnych objawach żydowskiej natury, które nietylko u nich, ale w każdej rasie jako ludzkiej pojawiać się muszą, ale w dziwnym separatyzmie wyznawców Mojżesza, w wyjątkowych prawach jakich używają i wogóle w małem ich udziale w tem wszystkiem, co obywateli jednego kraju obowiązuje.

Odpowiadają na to interesowani zwykłym frazesem o niemożliwości, warunkach etc. etc. etc., a zapominają że ta niemożliwość, te warunki i t. d. istnieją naprzykład tak dla inteligentnego obywatela żyda, względem mas ciemnych, jak i dla inteligentnego obywatela nie żyda, mającego też same zupełnie zadanie do spełnienia, względem ubogich w duchu braci wieśniaczej.

To zrozumiéć winni nasi żydzi.

Co zaś do naszych anti-semitów, którzy niewiem na jakim jeżdżą koniku, postępowym czy konserwatywnym, to faktycznie nie wiem czego chcą i gdzie dążą? Zanadto wierzę w ich czystość zamiarów, abym mógł przypuszczać męty w tej robocie, a zanadto ślepoty, abym mógł przypuszczać rozum.

Powrócę więc do tego com orzekł na początku niniejszej pogadanki, że główną tego przyczynę widzę w braku ideałów jakichkolwiek, w wędrówce na oślep, która dobrych skutków wyprowadzić niezdoła.

W dziennikarstwie naszem niestety zanadto może rozpanoszyło się wydawanie pisma nie dla idei, ale dla interesu.

Za grunt też wzięto wieści reporterskie, których fabrykanci, dla zyskania dziennikowi rozgłosu, mają obowiązek dzikiego rzucania się na wszystko, nawet na to, o czem dostatecznego nie mają pojęcia.

Niczem też dla nich jest wszelaka zasługa, wszelaka praca, gotowi ją każdej chwili obrzucić najniższego gatunku oskarżeniami, bez względu na to, czy się kto o to pyta, lub nie, bez względu na związek z obrabianym przedmiotem.

Nie złe wiersze lecz bez poezyi piszący epigon poetyczny, humorysta od siedmiu boleści, pseudohistoryk, znający dzieje dwóch lat ostatnich, wszystko są to pnie na koturny, pozuje na wielkość, na sąd krytyczny w ostatniej instancyi, a tymczasem może tylko faktycznie, pisać pompatycznym stylem bieżące wiadomości i prowadzić korektę pustych miejsc w dzienniku.

Lepiej jednak odwrócić oczy od tego smutnego widoku, zaznaczamy go tylko jako objaw chwili, który może z czasem zmieni się jakoś, tymczasem ponotujmy fakta, które domagają się z naszej strony uwagi w dzisiejszej pogadance.

Otóż do najpierwszych zaliczyć należy, wprawdzie pogłoskę, ale w każdym razie pożądaną, iż wkrótce urzędnicy otrzymają podwyższenie dotychczasowej pensyi.

Kto widział kiedy schylonego nad stolikiem przez życie całe urzędnika, jego twarz bladą, zapadłą, pargaminową cerę i jeżli miał sposobność zajrzéć do budżetu, tego białego murzyna, to niezawodnie przyjść musiał do wniosku, że los jego, zupełnie do godnych pozazdroszczenia nie należy.

Wkrótce tedy ma zapaść postanowienie, dzięki któremu biedacy ci, będą w stanie z własnej, niepowiększonej pobocznemi dochodami pensyi, kupować sobie... zapałki do papierosów, i pieprz... do pieczeni.

Mniemam, że ta wiadomość ucieszy również wiele Czytelniczek, zmuszonych dotąd ograniczać wielce swoje wydatki.

A doprawdy tak dzisiaj na każdym prawie kroku oglądać się koniecznie trzeba na wszystko i we wszystkiem ograniczać, bo wszystko coraz drożej kosztuje i coraz trudniejszem jest zdobycie kawałka chleba. Nawet ci co ten chleb uprawiają, mało go już pod strzechy swych stodół zbierać mogą, a codzień prawie dochodzą uszów naszych smutne wieści, iż ten i ów przymusowo glebę po ojcach opuścić musi.

„Kuryer Warszawski” w jednym z ostatnich swych numerów, podaje fakt takiego wywłaszczenia przymusowego, który na tem miejscu zaznaczam specyalnie dlatego, iż jest on poniekąd odpowiedzią na owe zarzuty, w ostatnich czasach podniesione przeciwko naszym wieśniakom.

Otóż donosi „Kuryer Warszawski”, iż jeden z właścicieli wsi położonej w Hrubieszowskiem, zmuszony był uledz temu nieszczęściu i dnia pewnego wystawiono mu majątek na licytacyą.

Prócz wielu licytantów stawił się także i jeden z owych chłopów, który dlatego przyniósł swój długo zapracowany grosz, aby nie dopuścić „obcego” do posiadania wioski, na której poprzedni właściciel dosyć długo, a sumiennie i ku zadowoleniu swych wieśniaczych sąsiadów pracował.

Gdy się następnie ów wieśniak przy licytacyi utrzymał i pieniądze wypłacił, przystąpił do właściciela z propozycyą, czyby czasem swej dawnej wioski od niego w dzierżawę nie przyjął.

I oto fakt prosty, szczery, którego prowdopodobnie reporterzy dzisiejszej epoki ochrzciliby mianem „sentymentalnego”, a który przecież sam za siebie przemawia zacnością swoją i najlepiej odpowiada na wszelakie zarzuty uczciwej chłopskiej natury.

Gdyby chciano szukać, niezawodnie odszukanoby ich więcej...

O. Viola.

Dentyści wiejscy. Do *Zari* kijowskiej donoszą z powiatu Hajsyńskiego gub. Podolskiej, o praktykowanym tam po wsiach sposobie wyrywania zębów. Cyrulik wiejski przywiązuje pacyenta szpagatem lub dratwą za ząb bolący do gwoździa wbitego w belce, i to tak, aby chory nie mógł się obrócić. Znienacka cyrulik, żona, lub ktoś z otoczenia pacyenta, kolnie go igłą lub szydłem z tyłu. Chory mimowiednie robi ruch gwałtowny głową i nim ją zwróci w poprzednim kierunku, już ząb buja na sznurku. Podobno za takiego rodzaju operacye, chorzy nadziękować się nie mogą dobroczynnym dentystom, płacąc im od 10 do 20 kop. Bywają jednak niekiedy przy takich wyjmowaniach zębów sceny komiczne, a czasem i bardzo smutne. Tak np. jeden z chorych ukłóty i do gwałtownego poruszenia głową zniewolony, tak energicznie rękami się odmachnął, że nim biegły cyrulik zdołał ruch ten dostrzedz, już dwóch zębów w szczęce pacyenta zabrakło. Za niedobrowolne pozbycie się dwóch zębów, pacyent zapłacił cyrulikowi 6 rubli, który też w zupełności uznał się zaspokojonym.

Otóż nowy koncepcik starej niezmiernie daty, wysmażony w głowie jakiegoś półgłówka a przedstawiający lud wiejski w głupocie dochodzącej do ostateczności.

Gdyby niezdarny ten opis pozostał był tylko w kolumnach „Zari kijowskiej”, pokrylibyśmy go milczeniem, ale przedrukowała go „Gazeta Warszawska”, kilka więc słów jest koniecznem.

Pomiędzy ludem w obrębie pewnym każdej niemal okolicy, znajdują się samorodni chirurgowie zestawiający złamane i zwichnięte członki oraz rwący zęby ze zręcznością nieraz godną największego podziwienia.

Znałem ich kilku takich, patrzyłem na dokonywane przez nich operacye, sam przez nich miałem ząb wyrwany i rękę naprawioną z wybicia i we wszystkich tych wypadkach, czynność ich nacechowaną była taką roztropnością, tak wielką znajomością tego co robią, że zawsze pomyślałem sobie: jaka to szkoda, że ludzie ci obdarzeni tak wielkim prawie zdumiewającym talentem, z braku nauki zmarnieć muszą z wielką stratą całej społeczności. Byli to wszystko ludzie ani pisać, ani czytać nieumiejący, do nastawiania członków używający tylko rąk własnych i bandaży a do rwania zębów lewarków żelaznych przez siebie w prostej wiejskiej kuźni przygotowanych.

Wprawdzie w ferworze żartobliwości o sposobie przez „Zari kijowskie" wskazanym, tu i owdzie oddawna przebąkiwano i żart ten odwieczny legendowo niejako do dziś dnia się utrzymuje, ale ani razu nie wskazano mi takiego samorodnego dentysty, któryby go w czynności swej używał. Bywają tacy, powiadano mi, tak ludzie mówią i na tem się wszystko kończyło.

Zapytuję więc wszystkich podobnych bajarzy, odgrzebujących stare oklepane facecyjki, jakim sposobem utwierdzić tak ząb na sznurku, aby ten za pociągnięciem nawet słabem nie osmyknął się z niego? Gdyby nawet ząb hak jaki posiadał, za któryby można sznurek uczepić, czego jednak nie ma a nawet od osady ku górze ciągle się zwęża, to czyżby ruch pacyenta ukłuciem śpilki lub nawet innym groźniejszym postrachem spowodowany mógł być tak silny, aby ząb wyrwać z tak mocnej oprawy z jaką w szczęce jest osadzony?

Są to więc bajdy wcale niedowcipne, bardzo płaskie i niezmiernie... naiwne, dowodzące jedynie pogardy ludu i jego nieznajomości.

Weredykus.

PISOWNIA POLSKA

I KWESTYA JEJ REFORMY,

przez

L. Szczerbowicza-Wieczora.

(Dalszy ciąg.)

Tak tedy zalecana przez p. Kr. pisownia Małeckiego mogłaby być przyjętą, jako fonetyczna; zarazem jednak, właśnie jako przeciwko wyłącznie fonetycznej, można postawić następujące zarzuty.

a) Pisownia nie jest żadnym talizmanem przeciwko rozmaitości wymawiania, nie jest regulatorem słowa żywego. Rozmaitość zaś pisowni wyrazów na *ia* widocznie wskazuje, o czem i ucho codziennie nas przekonywa, że istnieje także w mowie rozmaitość wymawiania, która wypływa nie z pisowni, ale odwrotnie, pisownia jest wynikiem wymawiania. Wielu wymawia *Anglja* nie dlatego, że tak piszą, ale odwrotnie — wielu pisze *Anglja* dlatego, że tak wymawiają i że takie wymawianie wydaje się im najlepszem. Toć i ci, którzy piszą *Marya* i piszący *Maryja* wymawiają jedno i drugie jednakowo — Márya, co nie przeszkadza ludowi wymawiać jedno i drugie *Maryja.* Ujednostajnienie więc pisowni nie wpłynie na ujednostajnienie wymawiania i kusić się o to nie może, lepiej więc tymczasowo dać pokój wszelkim pod tym względem usiłowaniom i trzymać się dawnej, a najpowszechniej dziś przyjętej pisowni Deputacyi *Marya, Anglia* i t. d.

b) Że pisownia Deputacyi najbliższą jest pisowni oryginalnej języków, z których owe wyrazy wzięto, jest to jej zaletą, przyjęcie bowiem pisowni Małeckiego niekiedy zupełnie zacierałoby wszelkie podobieństwo z brzmieniem wyrazu pierwotnego np. *dyjabeł* lub *Dyjodor* (grec. i łac. *diabolos, diabolus, Diodoros, Diodorus*).

c) Że czytający po polsku nie ma potrzeby oglądać się na ortografią grecką lub łacińską, ani stosować się do jej zasad — to prawda, lecz tylko względna. Piszemy przecie *Chateaubriand, Montaigne, Larochefoucault* i t. d., czego nikt kto po francuzku czytać nie umie, wymówić nie potrafi.

d) Ponieważ tedy niejeden z czytelników polskich wymawiać będzie w *Chateaubriand* wszystkie litery po polsku, zdarzyć się zapewne może, iż niejeden wyraz np. *Dania* wymówi nie jak potrzeba Dánija, lecz jak Dańa (jak imię Mania), ale na tę, w każdym razie szczupłą garstkę, która wobec niebardzo prostej pisowni zapomni o wymawianiu ustnem żyjącej swej mowy, na tę garstkę mniej jeszcze oglądać się wypada, niż na nie umiejących przeczytać nazwisk Chateaubriand lub Larochefoucault. Kto czyta, zna już przecie nieco swój język rodzinny, do objaśnienia zaś dzieciom, prostaczkom i cudzoziemcom są nauczyciele. Zresztą nie tak to wielkie nieszczęście, że np. imię *Mania* i wyraz z greckiego wzięty *mania* (obłęd, szał) piszą się jednakowo, a wymawiają rozmaicie: w innych językach europejskich takich różnic jest tysiąckroć więcej, idealnie zaś doskonałej pisowni nie masz.

e) Przyjęcie pisowni Małeckiego prowadzi w dalszym rozwoju (w deklinacyi) do przeładowania wyrazów brzmieniami miękkiemi *j, i,* co jak mówiłem już powyżej z powodu mniemanego *ji,* sprawia dla oka niemiły widok jednostajności, a dla ucha, wrażenie mowy zająkliwych jak *deklinacyji, anomaliji* i t. d.

Z tych względów mniemam, że najlepiej będzie pozostać przy dotychczasowej pisowni Deputacyi.

Gdybym mógł poczuwać się za uprawnionego do proponowania jakichbądź zmian ortograficznych, to głosowałbym raczej za przywróceniem dawnej historycznej, a dla wszystkich wyrazów w mowie będących jednostajnej pisowni, to jest radziłbym pisać wszędzie *ia* tak w *Dania, Anglia* jak w *Azia, deklinacya, Maria, parias* i t. d. jak pisano u nas powszechnie aż do początku bieżącego stulecia. Oczywiście, według tego, co wyłuszczyłem powyżej o stosunku pisowni do wymawiania, a co się tyczy niektórych połączeń głosek, które nie uchodzą w polskiej pisowni, naprzykład *ri,* toć przecie piszemy je jednak w wielu innych wyrazach obcych, naprzykład *Rio, Rianzaras, Rienzi, Richelieu* Dumouriez i t. d.

(*D. c. n.*)

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Urzędowe sprawozdania przekonywają, że pod względem ogólnej oświaty i krajowych urządzeń najwyżej niemal w Europie stoi Norwegia. Od roku 1814 olbrzymim krokiem posuwała się na drodze postępu. Jakkolwiek Szwecya i Norwegia pod jednem zostają berłem, jednakże każdy z tych krajów ma swój oddzielny niezależny rząd narodowy, a unia ich ogranicza się do tego, iż w razie wojny zagranicznej obowiązane są bronić się wspólnie.

W r. 1814, Norwegia sama sobie wypracowała i nadała konstytucyę, chlubę i zaszczyt jej przynoszącą, główną tejże podstawą jest równość, wolność i braterstwo. Ustawa ta położyła koniec wszelkim nadużyciom i niesprawiedliwości, zniesiono tytuły, stopnie, przywileje i stany, pozakładano liczne szkoły i rozmaite instytucye, których jedynem celem oświata i dobrobyt ludu. Siedmdziesiąt lat nieustannej cichej i gorliwej pracy bujny plon wydały. Przymusowe szkoły ludowe urządzone wzorowo, zostają pod kierunkiem zdolnych i światłych nauczycieli, dzieci kształcą się w nich nader praktycznie i naukowemi swemi wiadomościami mogłyby zawstydzić uczni naszych gimnazyów.

Żebractwo i próżniactwo uważane jest w Norwegii za największą plagę i klęskę kraju i dlatego najsurowiej jest wzbraniane. Kalecy, niedołężni lub chorzy, utrzymywani są przez właściwe gminy, jednym udzielają wsparcie pieniężne, innych umieszczają prywatnie za odpowiednią zapłatą, lub też w zakładach na ten cel urządzonych. Próżniaków i włóczęgów oddają do domów poprawy. Jeźli osoby będące na utrzymaniu gminy mają dzieci, to w razie gdyby się okazało, że je źle wychowują lub zaniedbują, dzieci te zazwyczaj zostają odbierane i umieszczane w rozmaitych a nader licznych przytułkach, lub oddawane na wychowanie wieśniakom, za opłatą uiszczoną przez gminy. Tam razem z miejscowemi dziećmi wychowują ich do lat piętnastu, to jest do konfirmacyi, a następnie gmina znajduje dla nich odpowiednie zajęcie. W takiż sposób wychowują się w Norwegii wszystkie dzieci nie mające rodziców lub pozbawione opieki. Tak więc wszystkie dzieci są na jeden sposób kształcone, wszystkie znajdują opiekę i poparcie.

W czasie feryj szkolnych, wszystkie słabowite dzieci, wysełane bywają ze stolicy na wieś, a wieśniacy ubiegają się o nie i przyjmują ich najchętniej po dwoje i więcej bez żadnego wynagrodzenia i zwykle więcej znajduje się miejsc niż dzieci do umieszczenia. Tak koleje żelazne jakoteż statki parowe czy to rządowe, czy prywatne, przewożą dzieci darmo, a panie zamieszkałe w Chrystyanii dostarczają odzieży, bielizny i rzeczy niezbędnych w podróży. Dzieci wysełane bywają bez żadnych nadzorców, odprowadzają je tylko na kolej lub okręt członkowie komitetu i liczna publiczność, a tymczasową nad niemi opiekę obejmuje konduktor pociągu lub kapitan okrętu, na stacyi zaś wieśniacy sami zgłaszają się po dzieci, gdyż komitet na kilka dni pierwej zawiadamia ich o dniu wyjazdu. Tak więc wszystko urządzone jest bardzo praktycznie a z nader małym kosztem.

*** Misyonarze katoliccy włoscy, którzy niedawno powrócili z krainy Dżebel Nuba na południu

Kordofanu, opisują w dziennikach włoskich oryginalne zwyczaje i zabobony jej mieszkańców.

Ptak Ibis czczony jest u nich jako bóstwo zsyłające deszcz na ziemię. Jak tylko pojawią się pierwsze chmury, Ibis przylatuje i siada na drzewie w pobliżu mieszkania arcykapłana. Niezwłocznie pierwsza z żon tegoż wylewa u stóp drzewa pełną czarę wody, wołając do świętego ptaka: „O! ibisie, spraw, błagam cię, aby Stwórca spuścił w tym roku liczne deszcze na nasze niwy, jak to obiecuje nam twoje przybycie, spraw też byśmy bogate zebrali plony.” Jeźli gdy już żniwa nadchodzą, przez tydzień nie padnie deszcz niezbędny do dojrzenia ziarnia, wtedy kapłan ich wychodzi na pole z wielkim krzykiem, wzywając wszystkie kobiety i dziewczęta, aby mu wtórowały, a nadto zarządza uroczyste procesye. Jeźli po trzech dniach nie zacznie padać deszcz ulewny, kapłan składa w ofierze krowę albo wołu i wszystkich zgłaszających się Nuban obdziela mięsem ofiary. Miód wolno im zbierać dopiero w dniu oznaczonym przez naczelnika plemienia, wykraczającemu przeciw temu przepisowi, kłosy na polu uschłyby i poczerniały, a nawet cały krajowy zbiór ziarna narażonymby był na zniszczenie, gdyż śniedź padłaby na nie. W przeddzień oznaczonego dnia, niewolnicy przynoszą kapłanowi próbkę miodu — ten go kosztuje, a następnie starsi mieszkańcy kładą ręce na ławie kamiennej poświęconej bożyszczu „Laro” a kapłan ogłasza, iż odtąd cały lud może bezkarnie miód swój zbierać. Dopokąd zboże nie dojrzeje, Nubanie mogą wprawdzie zbierać ziarno, ale nie wolno im go ani piec ani gotować, ale tylko spożywać surowe: gdy całkiem dojrzeje jeden ze starców uderza w bęben, kapłan dosiada konia i wjeżdża na swoje pola w towarzystwie starszych mężczyzn i kobiet, a młodzi udają się na swoje zagony. Małżonkowie, których pierworodnem dzieckiem był syn, zrywają po ośm kłosów, ci zaś, którzy najpierw mieli córkę, cztery kłosy i wróciwszy do wsi zerwane kłosy zatykają w swoje płoty. Cała osada wita radosnym okrzykiem powracającego z pól kapłana, poczem zabrawszy swoje kłosy, wszyscy udają się w uroczystym pochodzie do jaskini bożyszcza „Laro” i tam składają je w ofierze. Tańce i zabawy ludowe zakończają uroczystość.

*** Rozchodzi się pogłoska nader pożądana dla Warszawy, że pewne Towarzystwo zagranicznych przedsiebierców zgłosiło się do Magistratu z propozycyą zaprowadzenia w mieście naszem oświetlenia elektrycznego. Towarzystwo kładzie podobno za warunek, aby udzielono mu monopol na lat 50 lub też tylko koncesyę na lat 99 z zastrzeżeniem, iż wszyscy mogący pojawić się współzawodnicy, otrzymujący podobne koncesye w tymże przeciągu czasu, zobowiązani będą stosować się do cen Towarzystwa. Przedstawiciel i główny pełnomocnik rzeczonego Towarzystwa, upoważniony do podpisania umowy w jego imieniu, dodaje zobowiązanie nader ponętne, podejmując się oświetlenia miasta za połowę ceny płaconej dziś przez Magistrat Towarzystwu Dessauskiem, za nie dające się nawet porównać z gazem oświetlenie elektryczne.

*** Duńskie dzienniki drukują nadzwyczaj ciekawe materyały do historyi pobytu w Ameryce podróżnika naszego z XV-go wieku, Jana z Kolna. Akta urzędowe dowodzą, że dzielny ten marynarz jeszcze na kilkanaście lat przed Kolumbem zwiedzał wybrzeża Ameryki Północnej. Podróż tę rodak nasz odbył w roku 1476, na okręcie wyekwipowanym przez króla Krystyana II. „New-Yora-Herald” podaje liczne i nader zajmujące szczegóły o Janie z Kolna, zaczerpnięte z dzienników duńskich.

*** Nowa ustawa dla dróg żelaznych otwiera kobietom szerokie pole pracy i zarobku, według niej bowiem mogą otrzymywać na stacyach kolei posady: kasyerów, buhalterów, telegrafistów i stróży przy baryerach. Dotąd powiedziane jest: że do służby kolejowej mogą tylko być przyjmowane kobiety nie mające więcej nad lat 41 i ustawa zastrzega nadto, ażeby dyrekcye uwzględniały kandydatki przeważnie połączone węzłami rodzinnemi z urzędnikami na tejże kolei, lecz ograniczenie odnoszące się do wieku ma być zmienione w ten sposób, iż zastrzeżonem będzie ogólnie, aby mające lat 60 nie mogły ani wstępować do służby, ani pozostawać w niej nadal, bez zezwolenia ministeryum komunikacyi. Czy tylko ustawa ta prędko wejdzie w wykonanie?

Obecnie już liczba kobiet pracujących w kantorach, handlach i różnych przedsiebiorstwach przemysłowo-handlowych w Warszawie zwiększa się nieustannie, co dowodzi, że pracują usilnie nad nabyciem odpowiednich kwalifikacyi i uzdolnienia do zajmowania coraz szerszego stanowiska społecznego. Nie dość na tem ogólnie przyznają kobietom, że gorliwą pracą w zakładach przemysłowych i handlowych w których pełnią obowiązki buhalterek, kasyerek, korespondentek i t. p., przewyższają niejednokrotnie mężczyzn swą pilnością i systematycznością. I tak np. w Zarządzie telefonów, kobiety zaliczają do wzorowych pracownic. Żałować trzeba, że ustrój nasz społeczny i stosunki nasze nie przedstawiają jeszcze kobietom tyle otwartych dróg do zarobku i pracy, jak zagranicą gdzie uprzystępniono im liczne zawody dozwalające pracować z korzyścią dla siebie i kraju.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Suknia z aksamitu i koronki. Stanik aksamitny ma plecy krajane z długim karoczkiem, przody zaś w oryginalny sposób odcięte i dopełnione koronkowemi marszczonemi częściami. Półdługie rękawy zakończone bufami koronkowemi. Model lub ze złotawo bronzowego aksamitu i żółtawego tiulu koronkowego, podłożonego materyą jedwabną koloru aksamitu. Pasek aksamitny zapięty bawetowo, pod długą kokardą.

Suknia z vêtement. Odrobiona z ciemnej mienionej materyi jedwabnej ma spódnicę złożoną w szerokie fałdy; vêtement formą princesse, z plisowaną kamizelką, ogarnirowane wokoło brzegów sutą ruszą z materyi wyciętej w ząbki. Kapotka zdobna rozetą z piór.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Karolowi Cy. w Warszawie. Wiersza p. t. Marzyciele i listu od p. Kazimierza W. nie otrzymaliśmy.

Panu B. H. w Wilnie. Wierszyk p. t. Obmowa, w formie ma wady dość liczne. Być może, że inne staranniej będą przygotowane.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою, Варшава 15 Сентября 1883 г.

Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

NIEBEZPIECZNE MAŁŻEŃSTWA.

przez

ANAIS SÈGALAS.

Przekład J. B.

II.

ŻONA POWINNA IŚĆ ZA MĘŻEM.

(Dalszy ciąg.)

— I wiedząc o tem zmuszasz mnie pan do powrotu... Żądam abyś pozwolił mi odjechać.

— A ja żądam abyś pani pozostała.

— Czy jest to stanowcze postanowienie?

— Tak, postanowienie nieodwołalne, odrzekł wpatrując się w nią wzrokiem wyzywającym, w którym przebijała się zarazem groźba i miłość, ponieważ pomimo doznanych zniewag, kocham cię zawsze.

— A jeźli nie zechce pozostać w domu pana?

— Pragnąc cię zatrzymać, skorzystam z praw mi przysługujących.

— Ależ prawa te są ohydne i krzywdzące!.. zniesiono handel niewolnikami, a mająż być niemi wolne kobiety?.. jestto oburzające... Znam swoją godność i potrafię panu tego dowieść.

— Uspokój się śliczny szatanku, rozmarszcz zasępione czoło i uśmiechnij się do mnie, bo pomimo ciężkiej obrazy jaką mi wyrządziłaś, kocham cię gorącą miłością i za nic w świecie nie zezwolę na rozłączenie się z tobą, i zawsze powtarzać ci będę: Żona powinna iść za mężem.

— A! zawołała oburzona do najwyższego stopnia — żona powinna iść za mężem!.. chcesz pan tego koniecznie... dobrze więc, nie odstąpię cię ani na krok i ścigać cię będę wszędzie jak cień, jak szpieg, jak natrętna mucha której odegnać nie można, jak towarzysz do jednego przykuty łańcucha...

Ochłonąwszy nieco, dodała poważnie:

— Strzeż się pan! wyśledzę wszystkie twoje szachrajstwa i niecne wyrachowania, stać będę obok ciebie jak sumienie. Zapragniesz oddalić mnie i oswobodzić się, a wtedy ja także ci odpowiem: „Korzystam z przysługującego mi prawa:" „Żona powinna iść za mężem."

I dotrzymała słowa — groźba została wykonaną. Gdy Rudolf zasiadł przy biurku w obec klientów, zajętemi najważniejszemi interesami, wchodziła do gabinetu jego z książką lub robótką w ręku i słuchała wszystkiego co mówiono. Gdy pracował sam znowu przychodziła i haftując nuciła jaką piosenkę mieszając tryle i rulady do liczb, dodawania a najpewniej odciągania, co nieraz bardzo mu przeszkadzało.

To uporczywe ściganie go trwało od wieczora do rana, poczem odchodziła do swego pokoju, gdyż w tem Rudolf woli jej przełamać nie mógł. Nie chcąc więcej jeszcze ją drażnić, Rudolf zgodził się na ten jak nazywał kaprys, licząc na to że będzie czasowym tylko, że uspokoi się i przestanie gniewać.

Z nastaniem ranka rozpoczynała codziennie swoje śledztwo, choć więcej jeszcze od niego cierpiała nad tem. Liczyła na to że nareszcie tak mu tem dokuczy iż aby uwolnić się od niej i strasznego przysługującego jej prawa ścigania go wszędzie, sam prosić będzie o seperacyę na którą zezwolić nie chciał.

Był to może i dobry system, godzien naśladowania przez nieszczęsne ofiary artykułu 214.

Rudolf wtedy tylko czuł się swobodniejszym gdy Albina wyjeżdżała odwiedzić ciotkę; u której, na nieszczęście pozostać nie mogła — nie dopuszczał tego artykuł 214. Margrabina coraz więcej oburzona przeciw nędznikowi który oszukał je tak haniebnie, podburzała ją do buntu w imie honoru rodziny.

Jenerał pisywał dość często do margrabiny, dowiadując się o następstwa fatalnego tego związku. Albina podniecana; rozdrażniona, dotknięta boleśnie w swych uczuciach i uczynionym wyborze, w swej szlachetności i prawości, coraz uporczywiej trwała w swojem założeniu. Śledziła nieustannie, męczyła swoją obecnością i nieraz do szalonej złości doprowadzała nikczemnika, który na jej nieszczęście i hańbę, był jej mężem z mocy prawa.

Niejednokrotnie chciał wybuchnąć; powstrzymywał się jednak raz dlatego że kochał jeszcze Albinę, a powtóre iż wiedział dobrze iż pierwsze objawione zniecierpliwienie mogło stać się dla niej hasłem wyzwolenia, że gdyby tylko raz choć zawołał w uniesieniu: „Idź że już sobie raz i daj mi święty spokój" uleciałaby niebawem jak ptaszyna której otworzono klatkę.

— Ale postanowienie które z początku było ze strony zrozpaczonej Albiny jakby wyzwaniem i chęcią dojścia do celu, zamieniło się wkrótce w obowiązek, gdyż po cierpliwem i wytrwałem dwumiecznem śledzeniu męża, udało jej się odkryć przerażające tajemnice.

Jak to powiedzieliśmy wyżej, wróciwszy do Paryża z owej wycieczki do Dieppe, Rudolf posiadał tylko owe skradzione w grze 30,000 fr. — ale ileż to dróg staje się otworem dla awanturnikow i oszustów.

Jak tylko postanowił sobie próbować szczęścia zaczął od tego że wynająwszy piękną karetę pojechał nią do tapicera z którym umówił się o dostawę mebli za które wypłaci należność dopiero za dwa miesiące, prosząc zarazem aby udał się z nim do okazałego apartamentu za 5,000 fr. który oglądał wczoraj. Rozprawiając głośno kazał mu brać miarę wysokości okien dla przygotowania przepysznych firanek z koronek i bogatych brokateli, oraz kosztownych mebli odpowiednich do ścian i wielkości salonów. Tapicerem tym zaimponował właścicielowi domu, który nie wahał się wynająć lokal dla kosztownych mebli, i w kilka dni później, Rudolf tryumfalnie wprowadził się do mieszkania, w którem ustawiono meble przywiezione na ośmiu wozach używanych do przeprowadzki.

Zająwszy lokal zgodził zaraz dwóch służących, którzy widząc tak okazały apartament i bogate urządzenie, zgodzili się chętnie na służbę do tak bogatego pana, który wnosząc ze zbytkownego umeblewania, pewnie musiał być bardzo hojny.

Dotąd tedy Rudolf wydał z kapitału swego jedynie na koszta sprowadzenia mebli piętnaście franków za wynajęcie karety na pół dnia i czterdzieści franków, które dał szwajcarowi, a by go sobie ująć i olśnić swą hojnością.

Przyjął dwóch dependentów i otworzył zarazem bank i dom zleceń, w którym przez dwa tygodnie pracował ze swymi pomocnikami nie przyjmując nikogo, przygotował szumne ogłoszenia świetnemi obietnicami nęcące drobne kapitały. Wydrukował reklamy zwiastujące że powierzone mu kapitały wkładać będzie tylko w nader korzystne i najzupełniej pewne interesa, że ręczy za nie osobistą odpowiedzialnością i płacić będzie dwanaście od sta, w ratach półrocznych.

Te świetne obietnice, okazały apartament który cały przejść trzeba było aby dojść do jego gabinetu, bogate kobierce, meble i dwaj lokaje, był to lep na który złapali się pierwsi klienci. Ci z kolei przywabili innych i nim rok upłynął złoty deszcz spadł w jego kassę.

Naiwni utrzymywali że nie wiele przyjdzie mu ze złota będącego własnością jego klientów, i że procent dwadzieścia od sta nie dozwala mu robić dobrych interesów—ale Rudolt obdarzony był sprytem finansistów umiejących wytwarzać Paktol, choć co prawda zawsze w głębi fal jego leży wiele kału i błota.

Poznał doskonale dzieje oszustów tegoczesnych i z nich nauczył się często używanego a nawet dość modnego szachrajstwa i wysyskiwania. Zaczął się niemi posługiwać — i przywłaszczając sobie kapitały regularnie opłacał procenta. Tym sposobem mając 30,000 fr. skradzionych w karty, potrafił zebrać blizko do miliona franków.

Klientami jego byli głównie drobni mieszczanie, kupcy którzy przestali zajmować się handlem i posiadacze małych kapitałów, którzy zadowolnieni że szczupłe ich mienie tak znaczny stosunkowo przynosi im dochód, nie myśleli wcale odbierać powierzonych mu kapitałów, wychwalając nad to w swoich kółkach rzetelność i akuratność pana bankiera.

Jednak po pewnym czasie zdarzyło się że jeden z głównych klientów zapotrzebował swych funduszów, a że chodziło o summę dość ważną, Rudolf potrafił tak wymanewrować iż zyskał na czasie, a następnie interesant dał się namówić i kapitał zostawił. Lecz z kolei zgłosił się drugi, trzeci, czwarty, żądając wypłaty. Zwrócił małe, nic nie znaczące sumki, co zaś do większych, znowu znalazł jakieś pozory do ich zatrzymania. Zaczęło to budzić nieufność jego klientów, zapragnęli wycofać powierzone kapitały, cisnąc się tłumnie do kassy otwierającej się zawsze do brania, a zamykającej szczelnie ilekroć szło o oddanie. Nareszcie rozeszła się pogłoska że dom Rudolf Leduc odmawia wypłat i zniewolony będzie ogłosić bankructwo.

Wtedy to biedna Albina była świadkiem scen nader przykrych, gróźb, hańby i upokorzenia. I byłaby upadła pod ich ciężarem, gdyby nie podtrzymywało ją poczucie wielkiego zadania, jakie Bóg jej przeznaczył.

Posłannictwem tem był ściślejszy niż kiedykolwiek nadzor i śledzenie Rudolfa. Nie odstępowała go ani na krok, przesiadywała ciągle w jego gabinecie czy to gdy pracował i obliczał, czy też gdy rozmawiał z klientami.

Przeczuwała że te skargi, utyskiwania i jakiś nieustający zamęt miały skończyć się ruiną wszystkich na korzyść jednego, że ukrywało się pod niemi nowe jakieś oszustwo zacnego jej męża. Pragnęła te-

dy zbadać jego tajemne zamiary, w tej nadziei że potrafi go skłonić aby uczciwie zwrócił każdemu jego własność, chciała ocalić biedne ofiary własnej łatwowierności i niegodziwości oszusta.

VII.

Rzeczywiście Rudolf obmyślił sobie plan doskonały, mający ogromną przynieść mu korzyść, i dlatego odmawiał wszystkim zwrotu kapitałów, pod pozorem że zły stan interesów zmusza go do układów z wierzycielami.

Obecna wszystkim tym żądaniom i odmowom, Albina orzucała męża spojrzeniem zabijającej pogardy. Prawość jej oburzała się na tego złodzieja okradającego ubogich ludzi z ciężko zapracowanego grosza, bo jeżli jest rabusiem ktoś okradający kassę, jakże nazwać nikczemnika obdzierającego biedaków?

— Rudolfie, mówiła gdy byli sami, choćby stan interesów twoich był jak najgorszym, niepodobna abyś nie miał w kassie tak małych sum o jakie dopominają się ci biedacy. Oddaj tej nieszczęśliwej matce powierzone ci przez nię 3000 franków, zwróć temu biednemu robotnikowi małe jego oszczędności mające zabezpieczyć go od nędzy — prosta uczciwość ci to nakazuje.

— Oddaj!... zwróć!... wiecznie te tylko słowa masz na ustach, mruknął Rudolf.

— Skoro prowadzisz agenturę zleceń i interesów, zatem obowiązkiem jest twoim...

— Obowiązkiem moim, przerwał, jest pamiętać przedewszystkiem o moich własnych interesach, i dlatego właśnie otworzyłem mój gabinet...

— Jakto? zawołała.

Popatrzył jej w oczy, i rzekł po chwili.

— Czy wiesz ile jestem winien?

— Nie wiem.

— Siedmkroć sto tysięcy franków.

— Wielki Boże! zawołała.

— A ponieważ prowadziłem interesa na wielką skalę, więc posługiwałem się i twoim posagiem, który także...

— A! ma się rozumiéć, masz pan przecie prawo stracić mój majątek i przywieźć mnie do nędzy.

— Co się tyczy dumnej margrabiny, ta nic prawie nie ma oprócz licznego szeregu arystokratycznych antenatów, nie mogłaby więc w żadnem razie przyjść nam z pomocą, rzekł Rudolf.

— O! droga ciotko, o droga matko moja! czemuż nie słuchałam ciebie! czemuż nie pozostałam przy tobie! zawołała Albina zalewając się łzami.

— Dziękuję za komplement, odrzekł Rudolf z ukłonem, a po chwili dodał:

Spodziewam się że teraz, poznawszy cyfrę moich długów, nie będziesz tak szaloną aby mi mówić o ich spłaceniu.

— Przeciwnie, stokroć usilniej jeszcze domagać się tego będę, odparła podnosząc głowę. Oddaj wszystko co posiadamy, wraz ze spłaceniem długów ustanie upokorzenie — można dumnie podnieść głowę gdy nam nic nie ciężży na sumieniu.

— Moja droga, gdy nic nie ciężży na sumieniu, to najczęściej i w kasie pustki.

— Nie zawsze jednak, mój panie, odrzekła z godnością Albina; cała rodzina moja była bez skazy i zarzuty, sumienie nic jej nie wyrzucało, a przecież miała majątek i to nie pochodzący z krzywdy ludzkiej. Raz jeszcze powtarzam zwróć pan uczciwie powierzone sobie summy; jeżli nie jesteś w możności zupełnego ich zapłacenia, oddaj przynajmniej wszystko co masz, poczem postarasz się o jakieś uczciwe zajęcie. Co do mnie, nie ulęknę się biedy i zniesć ją potrafię.

— Biedy! krzyknął Rudolf, wiedz o tem że ja już znieśćbym jej nie umiał!.. Nędza! bieda! dobre to dla charlaków — ja muszę być bogatym lub samobójcą!..

— Samobójcą!.. powtórzyła przerażona... ależ to zbrodnia w obec Boga!

— Dajże mi pokój z temi szumnemi frazesami! jestem bezwyznaniowcem!..

Trwając niezłomnie w powziętem postanowieniu aby nie przestawać nakłaniać męża do zaspokojenia wierzycieli, nazajutrz weszła prędzej niż zwykle do jego gabinetu, właśnie w chwili gdy już trzymał rękę na kluczu, chcąc zamknąć drzwi. Stanęła na progu jak przykuta, osłupiała na widok jaki przedstawił się jej oczom.

Było to coś jakby fantastyczny obrazek z *Tysiąc Nocy i jedna*, którego blask olśniewał oczy. Na biurku leżały rozłożone rulony złota, bilety bankowe i różne wartościowe papiery.

— Wielki Boże! zawołała zdumina, zobaczywszy te wytwory banku i mennicy.

— Ach! jesteś znowu... zawsze i o każdej dobie... zawołał uderzając nogą w podłogę.

Przyzwyczajona do tych uniesień gniewu, Albina nie zważała na nie.

— Więc to jest owa nędza o jakiej mówiłeś!.. Skądże masz te pieniądze i co zamierzasz z niemi zrobić? zawołała.

Rudolf milczał chwilę, poczem rzekł nagle stanowczym głosem:

— Dobrze, więc powiem ci wszystko, bo i tak nieco prędzej czy później musiałabyś poznać moje zamiary. Tylko najpierw schowam pieniądze.

Zebrał rulony złota, banknoty i papiery wartościowe i schował prędko do skrytej szufladki, poczem zamknął szafę i klucz włożył do kieszeni. Zabezpieczywszy swój skarb, zwrócił się do Albiny, mówiąc:

— Zwołam wszystkich moich wierzycieli, za kilka minut przybędą.

— Ach! zawołała Albina.

— Zwołałem ich w celu...

— Oddania co im się należy, przerwała.

Rudolf roześmiał się z jej naiwności, poczem dodał:

— No, tak do pewnego stopnia.

— Więc w tym celu obliczałeś pozostałe ci fundusze! zawołała nie zwróciwszy uwagi na wyrażenie „do pewnego stopnia” zatem chcesz okupić swoją winę... Shańbiłeś się szulerstwem... żałujesz tego jesteś więc znów uczciwym człowiekiem... To dobrze, Rudolfie, dodała, podając mu rękę.

Ujął dłoń jej z pewnem zakłopotaniem, a po chwili rzekł.

— Upakuj prędko twoje rzeczy; byłbym cię uprzedził prędzej, ale obawiałem się że zdradzisz moją tajemnicę... Wyjeżdżamy dziś wieczór.

— Wyjeżdżamy! . gdzie?

— Do Włoch.

— Jak możesz myśléć o tak kosztownej podróży, wtedy właśnie gdy zostaniemy pozbawieni całego mienia.

— A! jakże jesteś naiwna! zawołał nie mogąc dłużej zapanować nad sobą, zrozum że przecie iż nie myślę wcale i siebie i ciebie doprowadzić do upokarzającej nędzy... Bądź spokojna, moja droga, na niczem zbywać ci nie będzie...

— Lecz przez jakież czary zdołasz tego dokazać, aby zostać znów bogatym jak tylko przejedziesz granicę, skoro nie mamy nic prócz 700,000 długu?

— To też, moja droga, trzeba nam będzie ograniczać się w wydatkach, gdyż będziemy miéć tylko 25,000 fr. dochodu.

— A wierzyciele?

— O! spłacę ich dziś jeszcze.

— Jakimże sposobem?

— Oddam im sto tysięcy franków.

— A masz w kasie?

— Wszystkiego razem 600,000 fr — nędzota dla takiego jak ja człowieka.

— Więc posiadając odpowiednie fundusze, chcesz obedrzéć wierzycieli, rzekła z niewysłowioną pogardą — nigdy nie zezwolę na to!..

W przedpokoju rozległ się odgłos szybkich kroków gwarnych i groźnych głosów, głosów wierzycieli obawiających się o swe mienie.

— To oni! rzekł Rudolf wstając nagle — zostaw nas!

— Ależ nie mogę zezwolić na takie oszustwo!

— Zostaw nas! krzyknął z gniewem, wypychając z pokoju.

W tejże chwili tłum wierzycieli wykrzykujących w sąsiednim pokoju, wpadł do gabinetu Rudolfa.

Było ich przeszło pięćdziesięciu, a składali się z ludzi różnego stanu i najrozmaitszej powierzchowności. Jedni we frakach drudzy w bluzach lub paltotach. Byli wierzyciele wytworni, z pewną nauką, mówcy uzbrojeni artykułami kodeksu i wierzyciele należący do prostego ludu, szorstko domagający się swoich pieniędzy, gotowi pomścić swą krzywdę groźbami i obelgami. Uśmiechy, grzecznostki, najlżejsze choćby objawy konwencyonalnej uprzejmości, ustąpiły miejsca natarczywym domaganiom, choćby dla formy, nikt nie powitał Rudolfa słowami: „Jak się pan miewasz?” natomiast ze wszechstron rozlegały się głosy: „Ileż nam pan zapłacisz?” nie o jego ale o kassy zdrowie się troszczono — wszyscy wchodzili do Rudolfa jak do wierzyciela, a więc z mniejszą jeszcze ceremonią niż do szynku.

Wszak zapłacili własnemi pieniędzmi za prawo gburowatości — mogli więc używać tej przyjemności według upodobania. Niektórych kosztowało to paręset lub kilka set franków, innych tysiąc, dwadzieścia aż do trzydziestu tysięcy franków — mogli więc sobie pozwalać.

Jakiś człowiek w kurtce i w czapce, olbrzymiego wzrostu i herkulesowej postaci, obliczał wartość i obejmował groźnym wzrokiem bogate umeblowanie gabinetu Rudolfa, porównywając je do sprzętów stojących w jego izdebce za sklepem. Stał tuż przy kominku na którym porozstawiana była drogocenna Serwska porcelana, a że z natury był złośliwy i mściwy wysunąwszą ogromną swoją rękę, porywał i rzucał o ziemię wazony, czary i kandelabry, które rozbijały się na drobne kawałki.

— Dajże pokój! zawołał jakiś nizki pan, umiejący gniewać się i unosić z rozwagą, nie zapominaj że gdy bankructwo zostanie ogłoszone, całe umeblowanie apartamentu sprzedane zostanie przez licytacyę na korzyść wierzycieli.

— A! prawda zawołał gbur hamując złość swoją, tak, to są nasze meble.

I nie zważając wcale na patrzącego na niego Rudolfa, ściągał pokrycie z bogatego adamaszkiem obitego fotelu i zaczął przewracać go i oglądać wysłanie jakby jaki taxator.

Zuchwałe to i oburzające postępowanie do najwyższego stopnia rozgniewało Rudolfa; podniósł rękę aby powstrzymać zuchwalca — zaniechał jednak tego zamiaru. Rezygnacya, ta piękna cnota ludzi rozumnych, i dla oszustów jest niezbędną — opamiętał się więc prędko, myśląc sobie iż co prawda

droga wiodąca do bankructwa zasłaną jest kamieniami i obelgami, ale też obok nich leżą na niej luidory i bilety bankowe — zatem jedne wynagradzają za drugie.

VIII.

Twarz Rudolfa przybrała wyraz niezwzruszonej obojętności, podniósł głos aby zagłuszyć gwar zwiększający się z każdą chwilą, i przybierając minę aktora odgrywającego główną rolę, rzekł do wierzycieli:

— Proszę, chciejcie panowie siadać.

Nadeszła stanowcza chwila. Wszyscy zasiedli w około stołu — głębokie zapanowało milczenie.

Wszyscy zwrócili głowy ku Rudolfowi, we wszystkich oczach tkwił niepokój i pytanie.

— Panowie, rzekł Rudolf głosem mówcy rozpoczynającego swoją mowę, raczyliście zaszczycić mnie swojem zaufaniem.

— Mieliśmy też kogo niem obdarzać? mruknął któryś z wierzycieli.

— Świadczę się niebem mówił dalej, że służyłem z całą gorliwością pracując jakby dla siebie.

— Oj! prawda, prawda, że dla siebie odezwało się kilka głosów.

Przygryzł usta, Rudolf mówił dalej.

— Nie słusznie potępiacie mnie panowie: nieszczęście sprzysięgło się na mnie, ale sumienie moje...

Głośny śmiech wybuchł do koła.

— Twoje sumienie! zawołał ów olbrzym który potłukł porcelanę, widocznie jest ono głuche i ślepe, lepiej więc nie powołuj się na nie.

— Sumienie moje, powtórzył Rudolf, nic mi nie wyrzuca Pojmuję słuszne wasze utyskiwania i skargi, i wierzcie mi, cierpię więcej może niż wy sami, i jestem za nadto uczciwym aby nie położyć temu końca. I dlatego właśnie mam wam zaproponować...

— Że sam zjesz jaja, a nam oddasz skorupki — wszak tak? zawołał ów olbrzym.

— Dajżeż mu się wytłomaczyć! zawołało kilku.

— A ma się rozumieć! rzekł jakiś dowcipniś słuchający Rudolfa z otwartemi ustami, słyszycie przecie że ma zamiar oddać nam nasze pieniądze.

— Istne drwiny, rzekł znowu ów prostak, mówię wam że tylko na końcu języka ma pieniądze — innych nie zobaczycie.

— Cicho!.. cicho!. wołano ze wszech stron.

— Chce tylko zamydlić nam oczy! wołał nieposkromiony prostak.

Jedni wołali: cicho! drudzy śmieli się głośno; wśród tego ogólnego wrzasku nie usłyszeli skrzypnięcia otwierających się drzwi.

— Panowie, lepiej było wysłuchać do końca, niż krzyczeć i hałasować, przemówił głos kobiecy.

Wszyscy odwrócili głowy i zobaczyli Albinę zbliżającą się pewnym krokiem. Postawa jej zdradzała stanowcze postanowienie, jednak mimo to żywy rumieniec wystąpił na jej lica, gdy się ujrzała sama w licznem gronie mężczyzn złożonem z tak różnorodnych sfer społecznych.

Gdybyśmy pisali opowieść zmyśloną, moglibyśmy skreślić fantastyczną scenę jak na widok tego uroczego zjawiska rozszedł się ogólny szmer uwielbienia — lecz, niestety! nic podobnego nie miało miejsca. Jakkolwiek Francuzi słyną niby z galanteryi, sława ta jednak nie koniecznie, a przynajmniej nie zawsze bywa zasłużoną, szczególniej zaś względem dłużników obojej płci zapominają często o wymaganiach grzeczności. I tym razem wierzyciele spoglądali na Albinę najpierw z niemiłem zadziwieniem, następnie z pewnem zniecierpliwieniem.

Na widok tej młodej kobiety tak cudownie pięknej iż gdziekolwiek się ukazała nieprzeparty roztaczała urok, nawet najmłodsi z tych mężczyzn, bynajmniej nie zostali olśnieni, wielu nawet zaczęło szemrać:

— Oh! jeźli jeszcze kobiety wmieszają się w tę sprawę!

Co do Rudolfa śmiałość i natręctwo żony przywodziło go do wściekłości — patrzył też na nią z gniewem i oburzeniem.

Jak widzimy przyjęcie nie było zachęcające — ale mężna Albina nie ulękła go się i rzekła pewnym głosem.

— Nie wiecie, panowie, nie domyślacie się nawet, co mąż mój zamierzał wam zaproponować.

— Ruinę i nędzę! odezwało się kilka głosów.

— Nie, panowie, ruina nas tylko dotknie, odparła, mąż mój wezwał was po to, żeby zwrócić wam całą prawie należność.

— Byłem tego pewny, zawołał przedrwiwając dowcipniś, i wyjąwszy z kieszeni duży pusty pugilares zaczął niby robić przygotowania do zapełnienia go.

Wierzyciele słuchali słów Albiny z niewysłowionem zadziwieniem, niektórzy wydawali głośne okrzyki radości.

Rudolf osłupiał.

— Co ona wymyśliła? mówił sobie, co może im skłamać?.. nigdy nie przypuszczałem że jest tak przebiegła...

— Obawiając się aby jej nie przeszkodził mówić; Albina rzekła krótko i prędko:

— Jesteśmy panom winni 700,000 franków, ale posiadamy tylko 600,000 fr. zamknięte w tej szafie. Jestto całe nasze mienie, i oddajemy je panom nic nie zostawiając sobie.

Wierzyciele nie wiedzieli czy jestto rzeczywistość czy senne marzenie, i cały ich szereg tak groźny i zuchwały przed chwilą, wydawał teraz jednogłośnie okrzyki radości i podziwu.

Rudolf został jakby piorunem rażony nigdy lis złapany w własne sidła nie uczuł się silniej przerażonym. Osłupienie jego było tak wielkiem że nie mógł zdać sobie sprawy z ogromu swego gniewu i oburzenia. Zdawało się że skamieniał.

— Rudolfie, rzekła do niego Albina nie nadużywaj cierpliwości tych panów, lub jeźli wolisz, chciej dać mi klucz od tej szafy, do której schowałeś swoje wartości i bilety bankowe.

Sina bladość pokryła twarz Rudolfa — ale cóż miał począć?.. Odmawiając kluczyka od szafki w której według oznajmienia żony znajdowała się tak znaczna summa, przyznałby tem samem że jest prostym oszustem, zamierzającym ogłosić podstępne bankructwo — a było to podstępstwo za które prawo skazywało na galery.

Zimny pot wystąpił na czoło — nic nie odpowiadał.

Albina powtórzyła dźwięcznym swoim głosem który w tej chwili wydał mu się jakby grobowym.

— Proszę cię, Rudolfie daj mi kluczyk.

Brzmiało mu to w uszach jakby powiedziała:

— Klucz lub galery za podstępne bankructwo.

Stłumił w sobie miotającą nim wściekłość, wybladłe usta zacisnęły się, zęby zgrzytnęły. Wyjąwszy kluczyk z kieszeni, podał Albinie z utajoną złością, ale nikt nie dostrzegł że oddając go zatopił jej paznokcie w rękę. Ona nie drgnęła nawet; pomimo bólu spokojnie przysunęła się do szafy, otworzyła skrytkę i wyjmując cały skarb ukryty do ostatniego grosza, rzucała na stół papiery wartościowe, banknoty i złoto.

— Rozliczcie się panowie, rzekła spokojnie.

Rudolf był blady jak trup.

Winien był 700,000 fr. w kasie było tylko 600,000 franków, Brakujące sto tysięcy rozłożone odpowiednio na wszystkich wierzycieli, o bardzo małe stosunkowo przeprawiły ich straty, i tak byli uszczęśliwieni że z największą radością pokwitowali z odbioru całkowitych należności. Schowawszy pieniądze powstali prędko otaczając Albinę i Rudolfa, wydając na ich cześć szalone okrzyki uwielbienia. Biedacy którzy przed chwilą jeszcze mniemali że są zrójnowani, nie posiadali się z radości; ów olbrzym chciał koniecznie nosić w tryumfie na ręku Albinę i jej zacnego męża. Rudolf stawał się teraz jakąś bajeczną istotą: fenomenem obecnej epoki, feniksem, białym krukiem, dłużnikiem który nie cofa się przed ruiną i nędzą, byle uiścić się wierzycielom.

Sam tylko dowcipniś nie był ani zadziwionym ani zdumionym; uważał to za rzecz najzupełniej naturalną, i pakując pieniądze do pugilaresa, rzekł spokojnie:

— Wiedziałem dobrze iż na tem się skończy.

Zabierając się do wyjścia, wierzyciele prawie do ziemi skłonili się Albinie, i z kolei ściskali rękę Rudolfa, nie zauważywszy że były one zimne i sztywne jakby kamienne i wzajemnym nie odpłacały się uściskiem.

Wyszli nareszcie, a okrzyki podziwu i uwielbienia jakie wydawali obecnie równały się wrzawie i odgróżkom wygłaszanym gdy wchodzili.

Rudolf pozostał sam z żoną.

Odwrócił się i wlepił w nią oczy.

Spojrzenie to było tak straszne, płomieniejące i dzikim wrzące gniewem, iż Albina zrozumiała że wszystkiego obawiać się może. Instynktowym ruchem położyła rękę na klamce, chcąc otworzyć drzwi i wyjść z pokoju.

Rudolf nie dopuścił tego, porwawszy ją za rękę odciągnął ją na środek pokoju i zamknął drzwi na klucz.

I orzucając biedną drżącą kobietę strasznem spojrzeniem w którem ześrodkowała się cała tłumiona dotąd wściekłość, krzyknął.

— Nieszczęsna!

Już sam głos jakim to wypowiedział, zapowiadał groźne jakieś niebezpieczeństwo, gwałtowną, niepohamowaną miotającą nim wściekłość — biedna kobieta drżała jak listek.

— Jesteś najstraszniejszym moim wrogiem, krzyknął, wydarłaś mi więcej niż wnętrzności, wydzierając mi dobrobyt, zbytek, świetność wiedząc dobrze iż one są niezbędne do życia!.. Jak inni mocnymi trunkami, tak ja upajam się zbytkiem... Skarb który rzuciłaś im na pastwę — to życie moje... nie mogę żyć nie mając wiele... wiele złota, nie dlatego aby go chować, ale abym mógł rozrucać go na wszystkie strony, aby za nie wszelkie kupować rozkosze...

— Ależ pieniądze te były nie twoje, a obowiązek nakazywał...

— Milcz!.. milcz!.. krzyknął groźnie; oszołomiona temi wielkiemi słowami, przywiodłaś mnie do ruiny, zniweczyłaś wszystkie moje plany... i mniemasz że poddam się losowi jak mi zgotowałaś... że poniżę się do życia w nędzy!..

— Nie jestto poniżeniem ale podniesieniem się z haniebnego upadku.

Rudolf który nie posiadając się z gniewu biegając po pokoju miotając się jak szaleniec zamknięty w klatce, zatrzymał się nagle przed Albiną, i wlepiając w nią wzrok rozpłomieniony krzyknął:

— I za kogóż mnie masz, myśląc że w tych wa-

runkach żyć zechcę?.. puchacze tylko mogą żyć w ruinach... powziąłem niewzruszone postanowienie...

— Na miłość Boga! cóż zamierzasz czynić? zawołała drżąc cała.

— Co zamierzam czynić, powtórzył strasznym, przerażającym głosem, co czynią tacy jak ja ludzie, utraciwszy wszystko... postanowiłem...

W tem w spojrzeniu jego błysnęła myśl prawdziwie szatańska. Gniew i uniesienie jego dochodziły do szału, rzekł więc po chwili głosem na którego dźwięk krew w jej żyłach ścięła się lodem.

— Ha!.. więc powiem ci co czynić postanowiłem!.. Stałaś się dla mnie złym duchem ścigającym mnie nieustannie... wyśledziłaś moje tajemnice, długi, środki, pieniądze które ukryć miałem — tak dla mnie jak i dla ciebie — a ilekroć użalałem się na to nieustanne śledzenie, odpowiadałaś z drwiącym uśmiechem: „Sprowadziłeś mnie pan gwałtem na mocy prawa, a prawo to mówi: żona powinna iść za mężem!”

Gorączkowym ruchem otworzył szufladę biurka, wyjął z niej pistolet i mówił podchodząc ku niej:

— Ha! żona powinna iść za mężem!.. a więc dobrze — pójdziesz za mną... tylko tym razem już nie do Włoch!.. ale dalej... o! daleko dalej!.. Czy słyszysz? pójdziesz za mną do grobu!.

Krzyknęła przeraźliwie i chciała uciekać, ale pochwycił ją jakby w żelazne kleszcze.

— Mówiłem ci to zawsze, rzekł znowu, że nie przeżyłbym ruiny... Jestto pistolet dwustrzałowy — najpierw ciebie zabiję a potem sam się zastrzelę.

— Chcesz mnie zabić! krzyknęła wydzierając się z rąk niegodziwca i chcąc uciec... chcesz popełnić morderstwo!.. to niepodobna!.. Jestem twoją żoną... Zastanów się... Ja nie chcę umierać... puść mnie...

Nie słuchał i broń wycelował ku niej.

— Ratunku!.. krzyknęła.

Ale nikt jej nie słyszał, pokój w którem byli znajdował się w końcu mieszkania, a zresztą, niepodobnaby było biedz jej na pomoc, gdyż Rudolf zamknął drzwi na klucz.

Wtedy zwracając się ku Temu, który zawsze słyszy wszystko i zawsze zesłać może pomoc i ratunek, zawołała błagalnie:

— Boże! nie opuszczać mnie!..

Rudolf obalił ją na ziemię, wpatrzył się w nią jakby żegnając po raz ostatni tyle wdzięków i młodości, i zdawał się wahać.

— Oh! nie wydzieraj mi życia! zawołała z rozpaczą, ja nie chcę umierać!

Nie odpowiedział — zawahał się chwilę.

— Nie! krzyknął nareszcie, bo ja muszę umrzeć a nie chcę żebyś ty żyła i pocieszała się z innymi.

Przyłożył lufę pistoletu do pięknego czoła młodej kobiety i pociągnął za kurek.

IX.

Odgłos żaden się nie rozległ — pistolet nie wystrzelił, kula nie dotknęła ślicznego czoła młodej kobiety.

Rudolf miał w biurku dwa pistolety; miotany wściekłością zapomniał że jeden z nich tylko był nabity, i gorączkowym ruchem pochwycił leżący z brzega, widocznie Bóg chciał ocalić Albinę — ten właśnie był nieszkodliwy.

W pierwszej chwili odurzenia puścił Albinę, która jednym krokiem rzuciła się ku drzwiom otworzyła je i wybiegła na schody. Przebiegła je z szybkością jaką tylko gwałtowne przerażenie wytworzyć może, stopy jej zaledwie dotykały schodów, nie schodziła ale jak widmo przesunęła się po stopniach.

Oddech zamarł w jej piersiach, nieprzytomna, na wpół żywa, wpadła na dziedziniec. Tam zastała wierzycieli zgromadzonych pod oknami jej mieszkania, którzy w zapale uniesienia wołali.

— Niech żyje pan Leduc! niech żyje wzór uczciwości!..

Owacya ta przypadła w najniestosowniejszej chwili, w tej właśnie gdy ów wzór uczciwych ludzi chciał zabić swoją żonę.

Te ich okrzyki uwielbienia, zagłuszyły wołanie biednej Albiny o ratunek.

Zobaczyli ją wpadającą na dziedziniec, chwiejącą się, bladą jakby obłąkaną. Cała energia podtrzymująca ją dotąd odstąpiła nagle jak przyjaciółka odchodząca od nas gdy już nie jest potrzebną — zachwiała się i upadła na kolana. Wszyscy obecni pobiegli do niej z najżywszem współczuciem, i zaledwie mieli czas ująć głowę jej w chwili gdy miała uderzyć o bruk.

— Ach! biedna ona! krzyknęli ratując Albinę, było to poświęcenie nad jej siły... trzeba ją zanieść do jej zacnego męża.

Ów grubijanin olbrzymiego wzrostu, najwięcej teraz okazywał jej współczucia. Wziął ją najdelikatniej na ręce i chciał wejść na schody. Lecz zaledwie przeszedł parę pierwszach stopni, rzuciła się w tył z przerażeniem. Tak gwałtownie była wzruszona że żadnej myśli zebrać nie mogła; zaledwie zdołała się zdobyć na ten jeden wyraz a raczej krzyk powtarzany nieustannie:

— Nie! nie! nie!..

I rękami chwytała się poręczy schodów.

Silny wierzyciel zszedł ze schodów i posadził ją w sieni. Wszyscy inni wyprzedzali się w okazaniu gotowości do usług. Jeden pobiegł po krzesło, drugi po eter, inny po wodę, słowem, wszyscy ci ludzie którzy przed chwilą byliby poszarpali z radością jedwabną jej suknię, otaczali ją teraz największem współczuciem.

Gdy przyszła nieco do siebie, jeden z wierzycieli zbliżył się do niej pytając:

— Co się stało?.. dla czego nie chce pani wracać do siebie?.. czy grozi jej tam jakie niebezpieczeństwo?..

— Nie!.. nie!.. zawołała.

— Bah! rzekł ów prostak który okazał się najnieprzyjaźniejszym dla Rudolfa, poczciwa kobiecina oddała wszystko żeby nas spłacić, dziś za cały skarb posiada tylko swe złote serce, a takiem złotem nie można płacić dostawcom.

W tejże chwili na pierwszem piętrze rozległ się odgłos wystrzału. Obecni pobiegli tam i wszedłszy do mieszkania Rudolfa, zastali go leżącego na posadzce z roztrzaskaną głową.

Zastrzelił się drugim, nabitym pistoletem. Rzucono się chcąc go ratować — już nie żył.

X.

Od kilku już miesięcy Albina była wdową.

Prawda każe nam wyznać że nie opłakiwała zgonu męża — nie żałuje się człowieka który chciał nas zamordować. W chwili gdy dowiedziała się o samobójstwie, w sercu jej wzbudziło się to uczucie litości jakie wywołuje każde cierpienie, każda śmierć, ale gdy przeszło pierwsze wrażenie, gdy uczuła się oswobodzoną od nikczemnika z którym związek upokarzał ją i poniżał w jej własnem przekonaniu, odetchnęła swobodniej i dumnie podniosła głowę. Rozwiązał więc nareszcie ten związek hańbiący i przeklęty, nie stała już obok plamy, która zdawała się ciągle rozciągać i jej zagrażać zbrudzeniem. Odzyskała swoją godność i przed światem odpowiadała już tylko za siebie, to jest za najzacniejszą, najszlachetniejszą pod słońcem istotę.

Majątkowa ruina była zupełną — ale tę stratę wynagradzał jej spokój i zadowolnienie własnego sumienia. Powróciła do ciotki, która uszczęśliwiona że odzyskuje ją jakby cudem, otworzyła jej z radością swoje objęcia, dom i serce. Dom był cichy i skromny, ale za to serce wielkie.

Fundusze margrabiny były tak szczupłe dla niej wystarczały, umiała jednak podzielić się niemi, i odrzucając powłokę lodową przysłaniającą jej serce; rzekła serdecznie do wracającej siostrzenicy:

— Witaj w cichym moim domku, kochana Albino, potrafimy poprzestać na małem, pocieszając się tem że cześć nasza pozostaje nieskalaną.

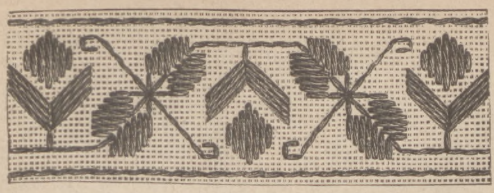
Gdy margrabina wyszła z siostrzenicą, wtedy choć obie nader skromnie były ubrane, kto tylko znał je choć z nazwiska, pozdrawiał je tym głębokim ukłonem jaki oddaje się tylko charakterom i postępowaniu a nie kosztownym strojom. Ilekroć Albina spotkała któregoś z wierzycieli których własnym spłaciła posagiem, zatrzymywał się jakby olśniony (rzecz nader rzadka u wierzycieli,) i wskazując ją palcem jako dziw, mówił: „To ona!” Gdyż nareszcie dowiedzieli się wszyscy wierzyciele iż jej tylko zawdzięczają ocalenie od ruiny, że jej jedynie należy się szacunek i uwielbienie, i że Rudolf wcale nie zaszczytne zostawił po sobie wspomnienie. Albina zachowała w tajemnicy że cudem tylko uniknęła śmierci z ręki męża, ale inne szczegóły niegodziwości jego rozgłosiły się prędko.

Przypadkiem opowiedział ktoś jednemu z wierzycieli, haniebne wypędzenie Rudolfa z domu gry za dowiedzione mu oszustwo a ten porównywając okoliczności przypomniał sobie przerażenie Rudolfa gdy żona jego weszła do pokoju w którym zebrani byli wierzyciele. Zrozumiał tedy że nędznik ten chciał ich wszystkich oszukać, i tylko dzięki prawości i szlachetnemu poświęceniu Albiny uniknęli tego smutnego losu. Rozpowiedział to innym i każdy że czcią pochylał czoło przed uczciwą kobietą, która na wezwanie męża: „Ratujmy kassę!” odrzekła: „Ratujmy honor!”

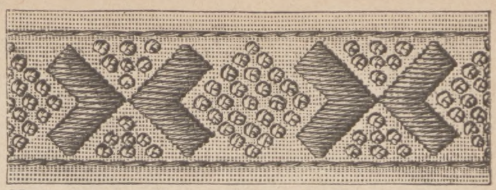
Do najgorętszych wielbicieli Albiny należał jenerał de Mornay, przeniesiony do Paryża.

Odwiedzał codziennie dawną swoją przyjaciółkę margrabinę i piękną jej siostrzenicę którą znał od dziecka. Była to największa dla niego przyjemność której też nigdy sobie nie odmawiał, i wkrótce stała się dlań tak nieodzowną jak chleb powszedni. Nie zdając sobie sprawy z powodu, zacny jenerał stał się teraz prawie elegantem. Trzymał się prosto aby uwydatnić piękną swoją postawę, a złośliwi mówili że ściskał się nawet trochę, aby ukryć nastającą tuszę zdradzającą wiek dojrzały. Jego wąsy artystycznie zakręcone, lśniące, starannie uczesane włosy, zdawały się dumne ze swej hebanowej czarności, w której nie srebrzył się jeszcze żaden siwy włosek. Był piękny i młody jeszcze wiosną serca a nawet ostatniemi odbłyskami lata, opromieniającemi nader korzystnie całą jego postać.

(*D. c. n.*)



N. 1. Szlaczek ściegiem płaskim.



N. 2. Szlaczek ściegiem płaskim i supełkami.



N. 3. Krawatka ze wstążki i koronki.



N. 5. Stanik z wykrojem kwadratowym. N. 6. Stanik bawetowy z okrągłym wykrojem.



N. 4. Kołnierzyk z żabotem.

Opis do N-ru 38.

(Dokończenie.)

N. 13—14 i ryc. 1, 2, 11 i 19 w N-rze 39. Dwa fartuszki.

N. 13. Fartuszek ozdobiony haftowanemi szlaczkami i koronką.

Fartuszek mający 63 c. długości, 77 dolnej a 57 górnej szerokości, zrobiony był z płótna szarego. Górny brzeg zwęża się do 33 cent. szerokości przez założenie 7 fałd 2 c. szerokich. Fałdy układa się w dwie grupy, widoczne na r. 13, zaszywa od spodu do 30 c. długości a z wierzchu na dwóch kontrafałdach przystębnowane są szlaczki 5 cent. szerokie, haftowane ściegiem krzyżowym, bawełną kolorową z podłożeniem kanwy, na batyście kremowym. Brzeg górny nie jest wszyty w pasek, tylko obrąbiony i oszyty gładko, zarówno jak i brzegi fartuszka, koronką z tasiemeczki medaljonowej i z mignardisse, której próbkę dajemy na ryc. 11 w N-rze 39. Kwasty i sznury do wiązania powinny być w kolorach haftu krzyżowego, do którego na modelu użyto koloru niebieskiego, ponsowego i bronzowego.

N. 14 i r. 1, 2 i 19 w N. 39. Fartuszek ozdobiony wstawkami i koronką z siatki gipiurowej.

Fartuszek z grubego, białego płótna, 70 cent. długi, a 50 szeroki, zdobiły poprzeczne wstawki i koronka siatkowa, oraz szlaczki kolorowe, haftowane ściegiem płaskim. Na modelu wstawki 9 i pół c. szerokie, przedzielane były paskami płóciennemi 6 c. szerokiemi, na których wyhaftowane były bawełną w dwóch kolorach, ściegiem płaskim, szlaczki podług próbki r. 1 lub 2 w N-rze 39, w którym na r. 19 dana jest próbka koronki siatkowej cerowanej bawełną białą i kolorową. Desenie na wstawki łatwo dobrać w NN. Tygodnika Mód z roku bieżącego i przeszłego. W górze fartuszek składa się w szeroką, potrójną kontrafałdę; w miejsce paska daje się szlaczek haftowany, z boku rozeta z kolorowej wstążki przykrywa spięcie.

N. 16. Kwadrat. Ścieg gobelinowy i kratka ażurowa.

Haft taki robiony na grubem, nie zbyt gęstem i niezmaglowanem płótnie, podług obliczonych nitek, służy do ozdobienia małych serwetek lub do naszycia na poduszce do kanapy, pokrytej pluszem kolorowym; chcąc zastosować na poduszkę brzegi haftu muszą być odziergane lub koronką oszyte. Haft robi się na płótnie żółtawem, filozelą dwunitkową, białą lub ponsową, licząc nitki w płótnie. Małe kwadraciki w gwiazdkach zajmują 4 nitki w kwadrat, a w trójkątach i na kanty obróconych kwadratach liczba nitek powiększa się równo, stopniowo; ściegi jak to r. 16 wskazuje idą naprzemian wzdłuż i w poprzeg. Ściegi stanowiące kratkę z małą przezroczystą dziurką na skrzyżowaniu zajmują 4 nitki, a rzędy stanowiące skośne kwadraty, ozdobione są w środku ściegami krzyżowemi; na dziurki podłużne przecina się 8 nitek i obrabia sznureczkiem. Na ażurowe między dziurkami kwadraty wycina się 12 nitek a duży kwadrat środkowy zajmuje nitek 24 w kwadrat, z których pozostawia się po 2 niewycięte do obrobienia sznureczkiem brzegów.

N. 17—19. Kapelusze okrągłe dziecinne.

N. 17. Kapelusz marynarski dla chłopczyka.

Takie słomkowe duże, ciągle modne dla chłopców kapelusze, opasują się szeroką wstążką repsową, związaną z tyłu na kokardę z długiemi końcami, albo szeroką szarfą z wysiepaną frendzlą, a rondo podszywa się materyą w takim jak opasanie kolorze. Na ryc. 17, rondo w połowie podszyte jest marszczoną materyą, a dalej aksamitem, któren jednak do brzegu nie dochodzi.



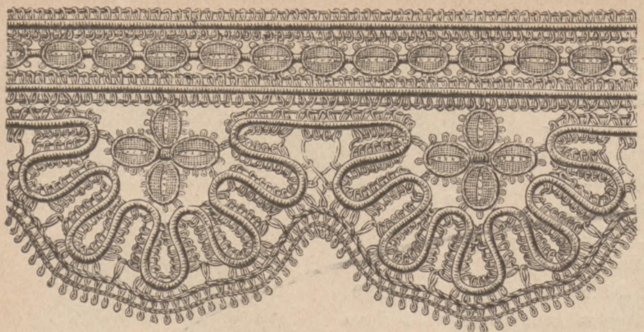
N. 7. Płaszczyk dla dziecka lat 3—5 Patrz r. 12. N. 8. Sukieneczka fałdowana.



N. 9. Suknia z przybraniem w pasy. Patrz ryc. 10 i 23.



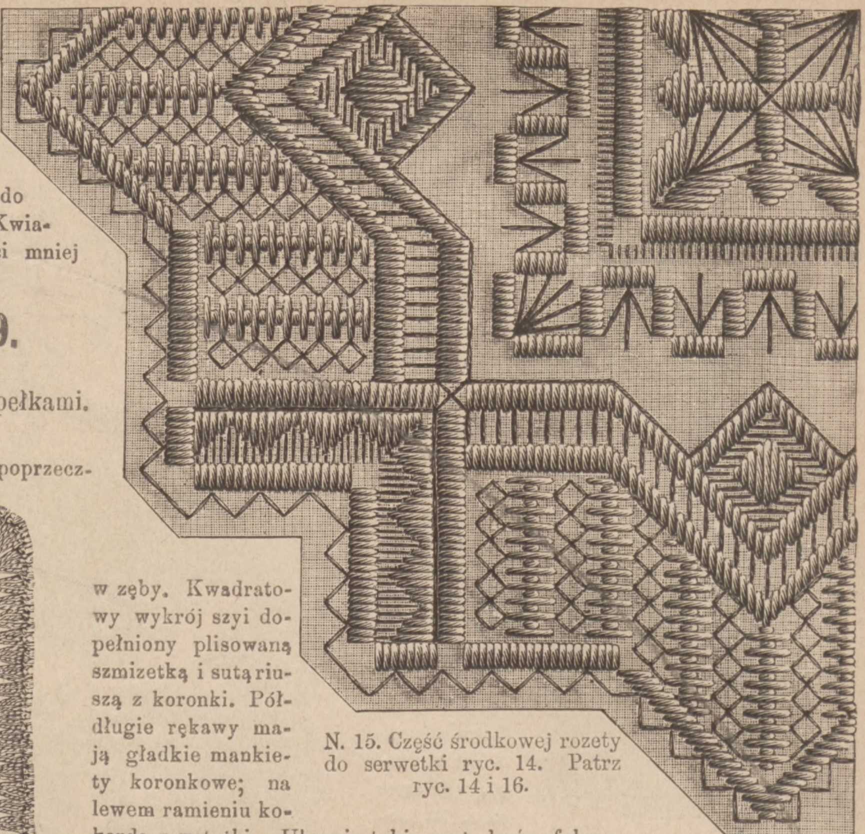
N. 10. Suknia z przybraniem w pasy. Patrz ryc. 9 i 23.



N. 11. Korokna z mignardisse spajanej igłą.

N. 18—19. Kapelusz z florenckiej słomki, dla dziewczynek.

Duże rondo kapelusza można w różne sposoby wyginać lub wywijać; ubranie stanowią kokardy lub rozety ze wstążki, a do strojniejszych dodaje się pióra. Kwiaty jako niepraktyczne dla dzieci mniej są używane.



N. 15. Część środkowej rozety do serwetki ryc. 14. Patrz ryc. 14 i 16.

Opis do N-ru 39.

N. 1—2. Szlaczki wyszyte ściegiem płaskim i supełkami.

N. 3. Krawat z wstążki i koronki.

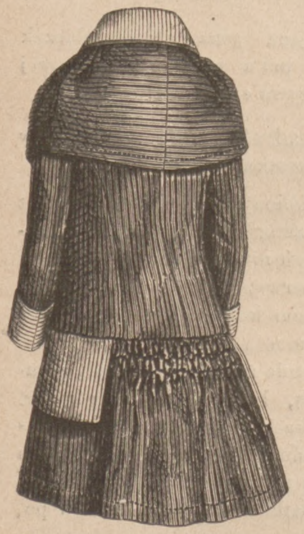
Potrzeba na niego kawałka wstążki 104 c. długiego a 9 c. szerokiego, oszytego z brzegów poprzecznych koronką 12 cent. szeroką, złączoną brzegiem w dwa rzędy; do każdego końca potrzeba po 94 c. koronki.

N. 4. Kołnierz z żabotem.

Jedwabna gipiurowa koronka 11 cent. szeroka, lekko naddana odpowiednio do obwodu szyi i wszyta w pasek 4 cent. szeroki stanowi kołnierzyk. Żabot krawatowy szyje się ze skośnego kawałka materyi ottoman, koloru poziomkowego, przeciętego na dwie części po 33 c. szerokie, 22 długie, zakończone taką jak kołnierz koronką, złączoną brzegami do środka. Materya składa się podług r. 4 i stanowi dwa końce jakby przewiązane z sobą.



N. 14. Serwetka z haftem geometrycznym. Patrz ryc. 15—16.



N. 12. Płaszczyk letni, dla dziecka lat 3—5. Patrz r. 7.

N. 5. Stanik z baskiną wycięty kwadratowo.

Brzeg baskiny przykrywa draperya, z boków podpięta w sute bufy, z przodu przysłonięta długą kokardą z wstążki, spadająca na spódnicę naszytą wolantami marszczonemi, wyciętemi w zęby. Kwadratowy wykrój szyi dopełniony plisowaną szmizetką i sutą riuszą z koronki. Półdługie rękawy mają gładkie mankiety koronkowe; na lewem ramieniu kokarda z wstążki. Ubranie takie może być z fularu, materyi faille lub t. p.; kokardy z wstążki w dwóch kolorach.

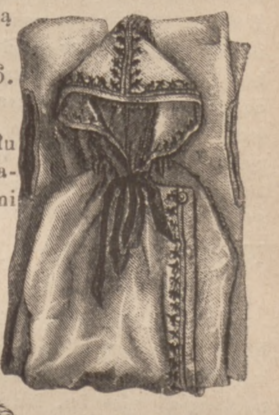
N. 6. Stanik bawetowy z okrągłym wykrojem.

W staniku bawetowym sznurowanym z tyłu, zasługuje na uwagę oryginalne przybranie wykroju, dane nakształt berty, z szerokiej suto marszczonej koronki, w górze odwiniętej odstająco. Głębokość wykroju przysłonięta jest bufowaną szmizetką z jedwabnej illuzyi.

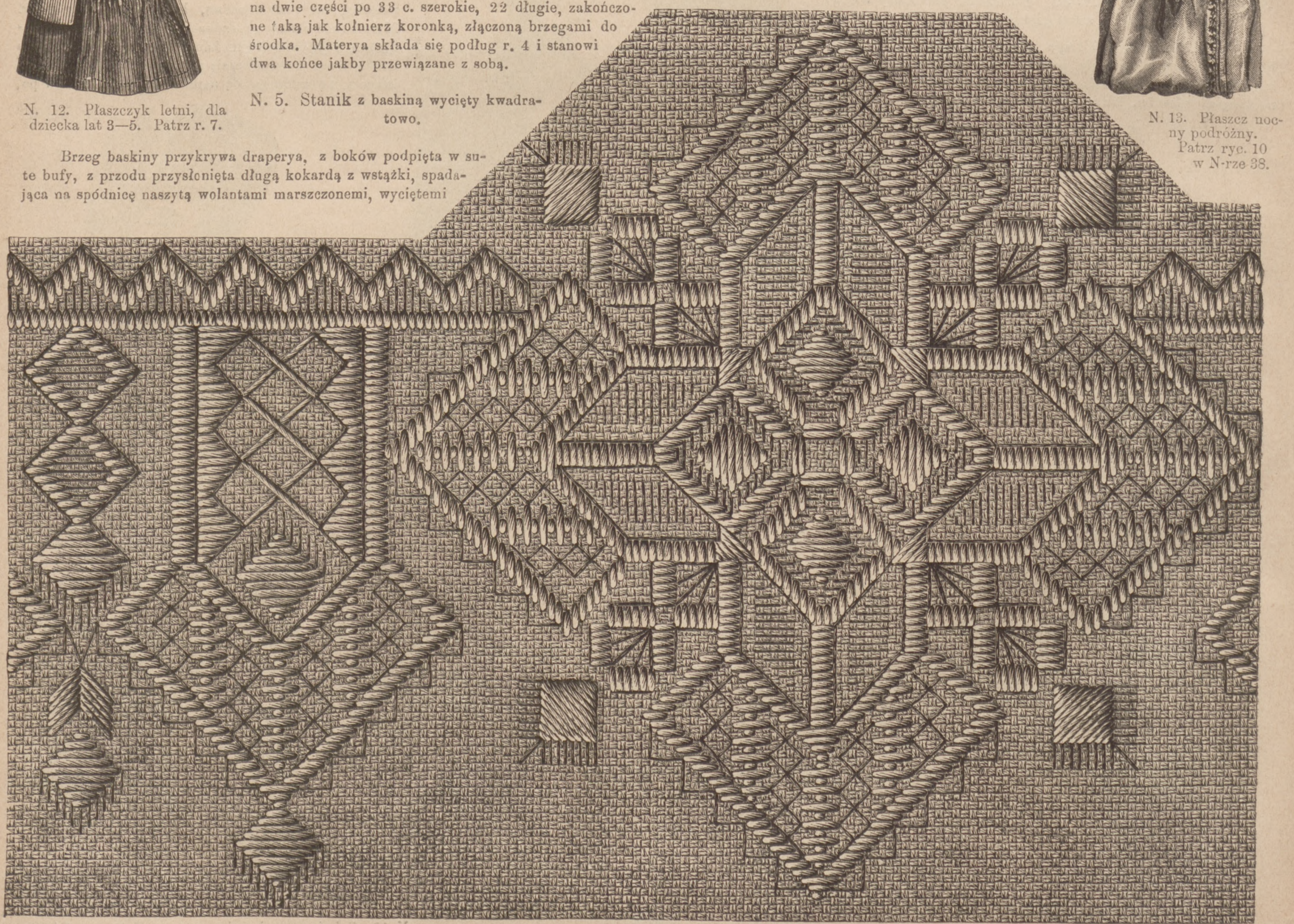
N. 7—8 i 12 Ubrania dla dzieci lat 3—6.

N. 7 i 12 Płaszczyk letni.

Ryc. 7 i 12 przedstawia z przodu i z tyłu płaszczyk letni, z granatowego bawełnianego materyału, z kołnierzem, rękawami i kieszonkami



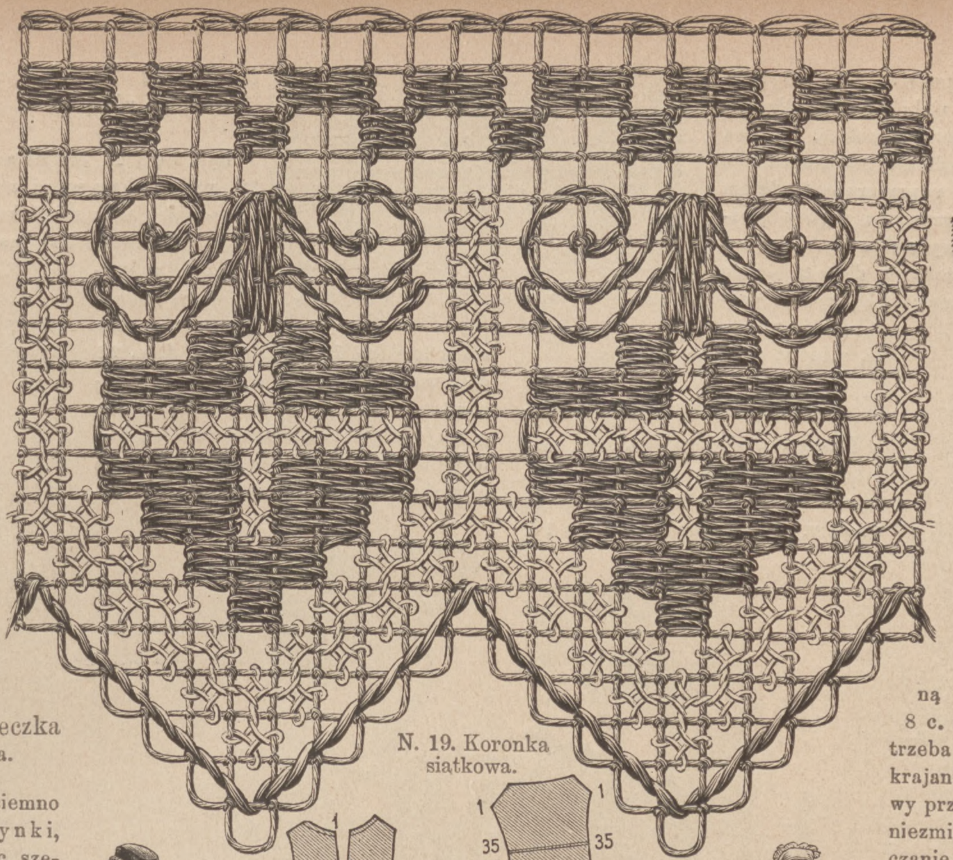
N. 13. Płaszcz nocny podróżny. Patrz ryc. 10 w N-rze 38.



N. 16. Część deseniu szlaku haftem geometrycznym, do ryc. 14.

ponsowemi, który kładzie się na ubranie lub też w dnie gorące zastępować może sukienkę. Staniczek zapięty na dwa rzędy guzików, dopełniony jest spódniczką 22 cent. długą, 156 cent. szeroką, z przodu przyszytą gładko, z tyłu przymarszczoną podług stanika. Pasek z wstążki jedwabnej, przeprowadzony z boków pod klapkami od kieszonek i związany z przodu w kokardę. Pelerynka 20 cent. długa, przymarszcza się na ramionach odpowiednio do figury.


N. 17. Żabot z batystu, koronki i wstążki.


N. 19. Koronka siatkowa.

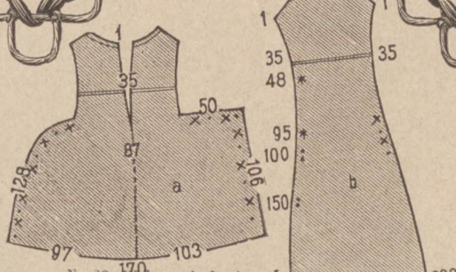

N. 18. Żabot koronkowy z rozetą ze wstążki.

N. 8. Sukieneczka fałdowana.

Uszyta z ciemno ponswej satynki, przybrana 8 c. szerokim szlakiem haftowanym, bawełną ponsową i niebieską na tle granatowem. Materyał zwierzchni zastębnowany jest z przodu i z tyłu w zakładki pół c. szerokie, dane po cztery w równych odstępach. Brzeg dolny przyszywa się do podszewki tak aby tworzył bufkę spadającą 10 cent. szeroką, która zasłania przyszycie spódniczki 22 cent. długiej ułożonej w kontrafałdy, zakończonej szlakiem haftowanym i zastębnowanej powyżej w cztery zakładki.


N. 20. Suknia z greckim vêtement. Patrz ryc. 21—22.


N. 21. Przód do r. 20.



N. 22. Wskazanie kroju do ryc. 20—21


N. 23. Plecy do r. 9 i 10.


N. 24. Suknia z krótko podpiętem vêtement. Patrz ryc. 34.


N. 25. Zasłonka do okna.

N. 9—10 i 23. Suknia z przybraniem z pasów.

Na ryc. 9 daliśmy plecy sukni z blado różowego batystu, przybranej pasami pletni żółtawej; r. 10 przedstawia suknię jedwabną zdobną pasami wstawki koronkowej. Na małym formacie r. 23 wskazujemy upięcie vêtement, którego brzeg dolny przyszyty szwem odwracanym na spódnicy. Upięcie à paniers tworzy się przez odwrócenie długich przodów, które odkładają się do tyłu na kształt wykładów, zbierają w fałdy podług ryc 9 i 23 i łączą z sobą pod plecami vêtement Na staniku kołnierz marynarski, odznaczony jest tylko przez naszycie pasów Kokardy formą rozet.

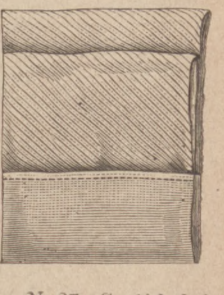
N. 14—16. Serwetka na mały stoliczek.

Ryc. 14 przedstawia kwadratową serwetkę z kanwy Jawa (62 cent. w kwadrat) zakończoną frendzlą wysiepaną 8 c. szeroką, na którą trzeba naddać kanwy przy krajaniu. Grube tło kanwy przerabiane w kratkę niezmiernie ułatwia obliczanie ściegów i czyni robotę bardzo pośpieszną. Deseń wyszyty był białą estramadurą N. 3 i cienką bawełną do haftu, w dwóch cieniach bronzowych, dających się prać. Na r. 16 daliśmy część szlaku z całą rozetą boczną, w naturalnej wielkości, zaś ryc. 15 przedstawia w znacznem zmniejszeniu trochę więcej, nad czwartą część gwiazdy środkowej, z dokładnem obliczeniem ściegów. Podług tych trzech rycin z łatwością ułoży się całość deseniu wykonanego tak zwanym geometrycznym, płaskim ściegiem. Brzegi po wysiepaniu frendzli trzeba odziergać w około dla zamocowania, dodając w równych odstępach nitki bronzowe; wiązanie w kwaściki dane także bronzową nitką.

N. 17. Żabot z batystu, koronki i wstążki.

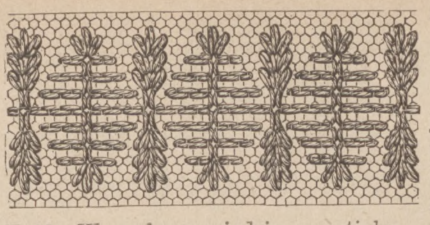
Dwa kawałki batystu mające w kwadrat po 8 c., zakończone obrąbkiem z kratką ażurową i obszyte koronką 3 c. szeroką, upinają się


N. 26. Część kołnierzyka stojącego, z podwójną kolorową wypustką.


N. 27. Część kołnierzyka stojącego, z plis pikowych.


N. 28. Dywanik na ścianę. Haft z aplikacyą. Patrz r. 4 w N. 38.

na podstawie ze sztywnego tiulu 11 cent. długiej, 4 cent. szerokiej. Jeden kwadracik przemarszcza się poprzecznie środkiem i przyszywa u góry podstawy tiulowej, drugi zaś złożony w dwie trójkątne chusteczki i przypięty kokardami z wstążki, stanowi dolną część żabotu.



N. 29. Wszywka wywiedziona na tiulu.

N. 18. Żabot z rozetą ze wstążki.

Plisowanie z koronki 6 cent. szerokiej, dane trzema rzędami, przyszywa się do pasków indyjskiego muślinu, z których dolny jest 14, środkowy 8, górny tylko 4 cent. szeroki, długość dwóch wyższych wynosi po 50 c., a trzeci jest 38 cent. długi. Po zaplisowaniu przyszywają się do podstawy ze sztywnego tiulu, z boku zaś dany pukiel muślinowy i wachlarzowe fałdowanie z koronki, na które wychodzi 80 cent. Rozeta z wstążki atłasowej 3 c. szerokiej.



N. 30. Sukienka bluzkowa z haftem.

N. 20—22. Suknia z greckiem vêtement.

Ryc. 20 i 21 przedstawiają przód i plecy sukni z żółtawo-białej indyjskiej krepy i cięższej jedwabnej rzymskiej materyi, z której dana gładka spódnica i stanik z baskiną 18 cent. długą. Ryc. 22 daje wskazanie kroju i wymiar vêtement zapinanego na ramionach; podług *a* krają się przody, *b* zaś oznacza formę pleców. Środkiem przodów dana głęboka, 87 cent. długa zaszewka; ramiona 16 c. długie przez zmarszczenie skrócone są do 8 cent. Zmarszczenie dane również na wcięciu stanu podług linji kropkowanej na ryc. 22. Boczne brzegi przodów krajane i fałdowane odmiennie, przypinają się za pomocą haftek brzegiem baskiny stanika i łączą z tyłu pod długim brytem idącym od pleców, upięcie vêtement wskazują i ułatwiają ryc. 20—21. Pasek kołnierz i mankiety z ciemnego aksamitu.



N. 31. Sukienka z fałdowanem vêtement.



N. 33. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 32. N. 34. Suknia z krótko podpiętem vêtement. Patrz ryc. 24.

N. 24 i 34. Suknia z vêtement krótko podpiętem.

Trzy szerokie koronkowe falbany przysłaniają całkowicie spódnicę gładką jedwabną, włożoną do vêtement z materyi jedwabnej w pasy. Vêtement kraje się na długość stanika z baskiną, do którego u dołu dodana draperya z prostych brytów, przyszyta szwem odwracanym, rozchodząca się bardzo szeroko z przodu. Sfałdowanie tylnego bryta wskazuje ryc. 24, przedstawiająca vêtement z gładkiej materyi, włożone na spódnicy adamaszkowej w wielkie kwiaty. Zwracamy uwagę na kołnierz koronkowy przybrany puklami z aksamitki, do którego są odpowiednie mankiety.

(Dokończenie patrz w Dodatku Nadzwyczajnym.)



N. 32. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 33.



N. 36—38. Pończochy kolorowe.



N. 35. Suknia z draperyą w formie bufy.



Pl. 551.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.